

Szanowni Czytelnicy!

I znów rok minął, znów jesteśmy starsi... ale czy mądrzejsi? Wokół coraz więcej przemocy, głupoty i zwyczajnego chamstwa. Ale nie wpadajmy od początku roku w zbyt ni pesymizm, wiele też wokół nas dzieje się dobrego. Na każdym kroku coś się buduje: a to drogi, a to nowa biblioteka. Dobrzy ludzie uśmiechają się do nas bezinteresownie, zima jak dotąd łaskawa, dzień już dłuższy.

W bieżącym numerze gorąco polecam rozmowę Agaty Zaręby-Jankowskiej z olsztyńskim pisarzem, naukowcem, a przede wszystkim globtroterem – w najlepszym tego słowa znaczeniu – Bolesławem Urynem. Bolek od wielu lat jeździ po świecie, a owocem jego podróży są książki. Nie byłoby w tym pewnie wiele osobliwego, wszak podróżników ci u nas dostatek, jednak książki Bolesława zdecydowanie wyróżniają się spośród wielu im podobnych. Ich wyróżnikiem, oprócz znakomitego stylu i ciekawej, wartkiej narracji, jest mądry stosunek autora do świata. Właśnie o kulisach warsztatu pisarskiego jest ta rozmowa. Nie da się ukryć, że Bolek kocha to, co robi. Trochę Mu zazdroścę tych wędkarskich przygód z tajemnicami, tego, co widział, i ciepłego stosunku do ludzi, których spotyka na swej drodze. W tym samym dziale podróże małżeństwa Alicji i Janusza Dramińskich. Olsztyńscy przedsiębiorcy i pletwonurkowie dzielą się z czytelnikami pięknem świata podwodnego. Są znakomitym przykładem tego, że przez wiele lat można być wiernym młodzieńczym pasjom.



Jeżeli chcielibyście trochę bliżej poznać olsztyńskiego pisarza Tomasza Białkowskiego, przeczytajcie, proszę, jego wersję alfabetu – skojarzenia dużo mówią o człowieku.

12 października 2013 r. odbyła się w Ełku I Międzynarodowa Konferencja Naukowa „Wielokulturowy świat Siegfrieda Lenza”. Jestem pod wrażeniem ogromu pracy, jaki wykonała dyrektorka ełckiej biblioteki, Iwona Drażba, podejmując się trudu organizacji tak dużego i niebanalnego przedsięwzięcia. Zaangażowanie profesorów z kilku odległych środowisk uniwersyteckich, ludzi o ugruntowanej pozycji naukowej, przyniosło znakomity rezultat. Bravo Ełk, chwała samorządowi i bibliotece. Iwona pisze o konferencji – przeczytajcie, warto.

W tym samym dziale Inspiracje poważny, skądinąd uniwersytecki, bibliotekarz, Maciek Rynarzewski, nie dość, że lubi pulowerek, to jeszcze podpowiada, jak odpicować sobie wózek.

Ponadto w numerze kilka innych nie mniej interesujących artykułów. Nowe autorki, nowe ciekawe tematy i wiele efektów dobrej bibliotekarskiej roboty. Wszystkim współpracownikom i czytelnikom „Bibliotekarza Warmińsko-Mazurskiego” życzę w nowym roku wielu sukcesów, kreatywności, dużo zdrowia i małych, ale za to codziennych radości.

ANDRZEJ MARCINKIEWICZ

w numerze

3-4/2013

ŁUDZIE Z KRĘGU KSIĄŻKI

BOLESŁAW URYN
Książki w drodze 4

Alfabet
TOMASZA BIAŁKOWSKIEGO 11

WITOLD GAGACKI
Arno Holz – symbol, patron, poeta 12

ALICJA I JANUSZ DRAMIŃSCY
Podwodne kompozycje 16

JAN BURAKOWSKI
Bibliotekarz pierwszej klasy 18

INSPIRACJE

MACIEJ RYNARZEWSKI
Odpicuj sobie wózek 26

KAMILA RADZIMIŃSKA-ARCZAK
Pomysł na... książkę i rower 28

IWONA DRAŻBA
Ten Obcy 32

W NASZYCH BIBLIOTEKACH

ANITA ROMULEWICZ
Duńczyk na Warmii 34

KATARZYNA KRESYMON
Konserwacja i restauracja starodruku
Constitutiones Synodales
Dioecesis Varmiensis 37

KATARZYNA BIKOWSKA
Podróże po kulturze 40

PAULINA GUDOWICZ
Trafiłam do Piątki 44

Bibliotekarz w dalekiej podróży 56

KAMIENIE MILIOWE – Z ŻYCIA BIBLIOTEK 62

WARTO WIEDZIEĆ

ANNA RAU
Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie 46

DANUTA WRÓBLEWSKA
Mała rzecz, a cieszy czytelnika 48

RECENZJA NA DWA GŁOSY

AGNIESZKA OWERKO 53

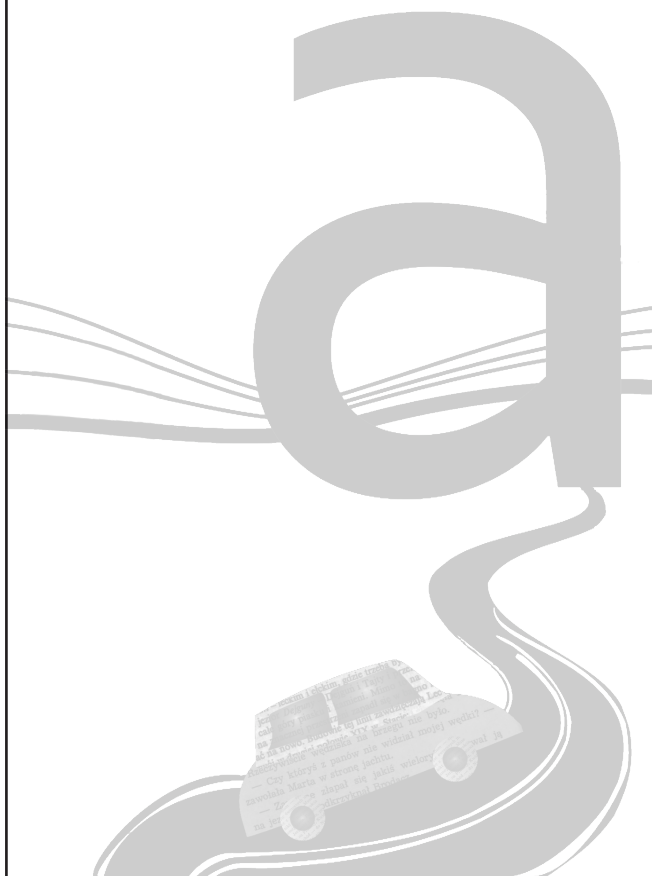
BARBARA SIENKIEWICZ 54

FELIETON

ELA FRĄCKOWIAK
Z książką w podróży 60

PASZPORT BIBLIOTEKI

Miejska Biblioteka Publiczna
w Tolkmicku 63



książki w drodze

z **BOLESŁAWEM URYNEM**
rozmawia AGATA ZARĘBA-JANKOWSKA



Bolesław Uryn, doktor nauk biologicznych, olsztyński globtroter, pisarz, niezależny reporter i fotografik. Zwiedził niemalże cały świat, wielokrotnie odwiedzał Mongolię, a wrażenia z wypraw spisuje w bardzo ciekawych książkach.

O czym będziemy dziś rozmawiać?

O książkach, oczywiście. O książkach i o podróżach.

Świat książek można nazwać „internetowym”. Świat się zrobił brutalny, zakupy przez Internet są dużo tańsze, dużo łatwiejsze, nie mówiąc już o tym, że i wybór jest ogromny. Bellona sprzedała 12 600 szt. mojej *Mongolii* i będzie trzecie wydanie, a w żadnej olsztyńskiej księgarni nie ma mojej ostatniej książki. Natomiast jeśli sprawdzi Pani portal Allegro, znajdzie Pani kilkanaście ofert. O dziwo, stwierdziłem, że moje książki są sprzedawane za granicą na eBay’u. Nie przypuszczałem, że trafią na internetowe platformy handlowe. Sądziłem zawsze, że tylko ja jestem wielbicielem Internetu... Podobnie z e-bookami. A już w księgarniach internetowych... Dlatego właśnie „kłócę się” teraz z Wydawnictwem o pozostawienie w tytule wydawanej książki słowa „Irak” ułatwiającego zainteresowanym jej wyszukanie w Internecie.

Jednak inne tytuły, te, które posiadają biblioteki, są bardzo popularne i ciągle wypożyczone.

Tak i mnie powiedziano, ale trzeba je zamówić i oczekiwać w kolejce. Muszę się przyznać, że

bardzo wiele moich książek kupuję taniej od Wydawnictw i po prostu wysyłam znajomym, bowiem piszą do mnie i skarżą się, że w księgarniach nie mogą ich dostać.

Ostatnie Pana książki są bogato ilustrowane, znajdują się w nich również zdjęcia Pana partnerów z wypraw i ich relacje.

Moją zasadą wyprawową jest nie to, żeby oszukiwać jakimiś niesprawdzonymi i nieudokumentowanymi relacjami z samotnych wypraw. Zdarza się bowiem często, że jeśli książkę pisze samotny podróżnik, to będzie to jeden wielki bajer. Nie ma najmniejszego problemu, żeby polecieć do Brazylii, przesiedzieć dwa tygodnie przy hotelu na plaży, później zrobić jedną opłaconą wycieczkę do Amazonii, obfotografować krokodyla w zoo, a w książce opisać „walkę z Indianami”. Dlatego, moją zasadą jest – po pierwsze – jeżeli jestem z grupą, to „pasożytuję” na ich przeżyciach i odczuciach oraz dokumentacji fotograficznej. Być może moje książki są niedoskonałe, ale każde słowo, które jest w nich napisane, podbudowałem świadectwem ludzi, którzy tam ze mną byli, albo ich fotografiami. Za to po każdym powrocie robię grubą fotoksiążkę i zawsze każdy otrzymuje (z podziękowaniem) taki album dokumentujący naszą wyprawę z ich osobami na zdjęciach.



Fot. archiwum B. Uryna.

Z kim jeździ Pan na wyprawy? Samotnie czy w towarzystwie?

Bardzo chętnie podróżuję w towarzystwie, wielu osobom pomagam w organizacji wypraw, pomagam również w znajdowaniu sprawdzonych osób prowadzących wyprawy. Sam natomiast jeżdżę z małą sprawdzoną grupą przyjaciół. Moje wyprawy bywają bardzo ekstremalne, a np. dopiero po miesiącu pobytu w tajdze Mongolii można dowiedzieć się, jakim naprawdę partnerem jest człowiek. Ludzie okazują się zupełnie inni w „domowej” cywilizacji i zupełnie inni, gdy zaczyna doskwierać trud męczącej podróży, niewygody na miejscu, pojawiają się zagrożenia. A na partnerze daleko od śladów cywilizacji trzeba polegać w dwustu procentach! Zdarzyła mi się taka wyprawa, gdy po tygodniu powiedziałem: „Dziękuję, zostawiam ci samochód, zostawiam ci przewodnika, a ja sobie idę osobno”. Ale mam już grupę sprawdzonych przyjaciół, z którymi się idealnie uzupełniamy i na sobie polegamy.

Mam gwarancję, że – w razie czego – ktoś na plecach wyniesie mnie z tajgi, obroni przed niedźwiedziem i odwrotnie...

Czy może Pan opowiedzieć o swoich wyprawowych towarzyszach?

Mam wielu ciekawych przyjaciół, np. jednym z nich jest Jurek Romańczuk, prowadzący w Niemczech Akademię (szkołę) Survivalu (o którym właśnie piszę książkę). Organizuje on wyprawy w każdy rejon świata, na przykład do Kanady, którą zna doskonale. Albo do Namibii, która jest najpiękniejszym miejscem w całej Afryce. Książka, o której wspominałem, ma się nazywać *Survival Leben*, czyli po niemiecku *Życie Survivalowe*. Ma ona mówić o moim przyjacielu, który został sierotą, przeżył sierociniec w Niemczech, a jako dziecko był adoptowany przez armię amerykańską, gdzie został przeszkolony – i potem szlajał się po ich wojnach na całym świecie. Ranny przeszedł na rentę, a że nie miał poza doświadczeniem woj-

skowym żadnego wykształcenia, skończyło się na założeniu szkoły survivalu i organizacji wypraw, szkoleń i (np. w Kanadzie) polowań z łukiem na wielkie ryby i... niedźwiedzie. Byliśmy razem... długo wymieniać gdzie. Chcę napisać książkę o nim, o jego szkole survivalu i przepleść to wszystko opowieściami o naszych niesamowicie niebezpiecznych przygodach, które się dobrze skończyły. Na przykład o tym, jak to Jurek, gdy niedawno był w Kanadzie, przeżył bardzo bliskie spotkanie z niedźwiedziem. Nocą niedźwiedź przelazł przez jego namiot, połamał mu żebra, ale go nie zjadł. Czy też, jak – gdy byliśmy razem w ubiegłym roku – niedźwiedź w nocy rozerwał mój namiot, rozerwał mi śpiwór, ale go przepłoszyłem i wszystko skończyło się dobrze. Albo jak to podczas naszej kanadyjskiej wyprawy w Mongolii o mało się nie utopiłem, a Jurek roztrzaskał canoe na skałach. Czy jak w tajdze straszna burza z piorunami o mało nas nie zabiła piorunami i pożarem. I taka to będzie książka, mam nadzieję ciekawa, bo o niesamowicie ciekawym (już) dziadku (aktualnie 70.), unikatowej szkole przeżycia i groźnych, ale szczęśliwych, naszych przygodach. Mam też przesympatycznego przyjaciela, Mongoła Muruna. Jego rodzina przed kilkunastoma laty z biednej, jeszcze komunistycznej, Mongolii przyjechała do Polski, do Kalisza. Żona jest lekarzem, pracuje w szpitalu, córka kończy medycynę, a on, ponieważ ma starych rodziców w Ułan Bator, sześć miesięcy spędza w Polsce, a sześć letnich – w Mongolii, opiekując się rodzicami. Kiedyś, przez lata Murun jeździł ze mną na wyprawy jako przewodnik, teraz sam organizuje takie przedsięwzięcia, robi to w sposób doskonały, więc podsyłam mu potencjalnych klientów. Interesuje się myślistwem i fotografią, niżle mówi po polsku... Moim wieloletnim partnerem jest Kaszub – Mirek Warszawski. Idealnie się uzupełniamy. Tak już się zgraliśmy, że decyzję o ekstremalnym wyprawach warunkuję jego udziałem (i odwrotnie).

Wiem, że jest pan ichtiologiem, czy ma to wpływ na pańskie wyprawy?

Jestem ichtiologiem z zawodu, wędkarzem z zamiłowania i moje wyprawy zawsze kieruję tam, gdzie można łowić ryby. O dziwo globtroterów-wędkarzy jest dzisiaj masa. Moi olsztyńscy koledzy jeżdżą na ryby do Kanady, Afryki, Brazylii, Mongolii... Koledzy założyli klub podróżników wędkarzy. Odkryli rzeki w Nepalu, gdzie są organizowane wspaniałe spływy pontonowe połączone z wędkowaniem. Planuję wybrać się tam z nimi, jednak nie możemy się dograć, ponieważ ja jedyne, co mam w nadmiarze, to wolny czas, dlatego – gdy już gdzieś lecę i płacę za bilet – to na miejscu poznaję i fotografuję interesujący „temat”, chcę robić to długo i wolno (oraz – w ten sposób – tanio). Chciałbym więc spędzić w Nepalu z sześć tygodni, a te wędkarskie spływy młodych pracoholików trwają około dwóch tygodni. Tak przy okazji – częstym wyprawowym problemem jest znalezienie partnerów, którzy mają dużo czasu... Kasa nie jest istotna. I co robić, jak wokoło jest jeden wielki „wyścig szczurów”...? Zbawieniem jest emerytura.

Od ilu lat jeździ Pan do Mongolii?

Do Mongolii jeździłem przez 17 lat, corocznie od 1995 r. na jeden-dwa miesiące. W tej chwili już Mongolia mi się znudziła, poza tym weszła w „XXI wiek” i rządzi tam – jak wszędzie – Internet, komórka i dolar. Ale stała się moją specjalnością, lepiej znam Mongolię niż Polskę, lepiej znam Ułan Bator niż Warszawę, dlatego teraz skierowałem swoje zainteresowanie na kraje o podobnej, mongolskiej historii, np. syberyjskie przygraniczne republiki Tuwa czy Ałtaj. Nieodkryte cuda dla podróżnika i fotografa. Przymierzam się do sąsiedniego Kazachstanu.

A Polska? Podróżuje Pan po Polsce?

Te rzeczy odkładałam na starość, gdy już nie będę mógł się przemieszczać na koniu albo w kanadyjce. Ale planuję wiosną dziennikarski pobyt we wiosce Policzna (koło Białowieży, cztery kilometry od granicy z Białorusią). Przymierzam się do sąsiedniego Kazachstanu.

W podróż zawsze zabieram ze sobą duży notes.

Każda podróż składa się z drobnych przeżyć i odczuć, których później się nie pamięta. Ale gdy napiszesz dwa zdania, czy nawet kilka słów, to wszystko pozostaje na zawsze. Można do tego później wrócić i wykorzystać albo po latach przypomnieć sobie bezcenny drobiazg.

Notes jest bardzo ważny.

klimatach. W drewnianych chałupkach z żurawiami studziennymi, babuniach na ławeczkach, bimbrze z miodem i żubrach w ogródkach...

Gdzie na świecie jest najpiękniej?

Byłem na wszystkich kontynentach, natomiast miejscem, które najbardziej mi się podobało i gdzie natychmiast bym wyemigrował, gdybym był w Pani wieku, albo do którego bym pojechał, żeby nauczyć się nowości w swoim zawodzie, tym miejscem jest Brazylia. Najpiękniejsze, najciekawsze, najmądrzejsze państwo na świecie! Obojętnie, jaki by Pani miała zawód, Brazylia jest tak odmienna i mądrzejsza od reszty świata, że można tam udoskonalić swoje umiejętności zawodowe. Do Brazylii powinno się jeździć tak, jak było to popularne w okresie międzywojennym w Polsce. Były to bardzo mądre czasy. Wielką popularnością cieszyły się wtedy wyjazdy młodych ludzi po ukończeniu studiów, a przed podjęciem pracy. Młodzież wyruszała daleko od Europy, ale obracała się cały czas w kręgu swojego zawodu (ucząc się, jakby to był drugi fakultet). A Brazylia jest inna. Lepsza i – o dzi-

wo – mądrzejsza od reszty świata. Ot choćby taki przykład – lodziarnie. W Brazylii restauracje serwują dania płatne za wagę, lub z zasadą tzw. szwedzkiego stołu. Natomiast wszystkie lodziarnie są samoobsługowe, a towar sprzedaje się na wagę. Klienci sami nakładają sobie lody, w ilości, jakiej chcą, i z dodatkami, jakie chcą. Mam taką zasadę, że jak coś mnie dziwi, albo czegoś nie rozumiem, to nie krytykuję, tylko się pytam, dlaczego jest tak, a nie inaczej. I pytałem się, dlaczego tam funkcjonuje to (i restauracje) wszędzie w tak odmienny sposób? Wytłumaczono mi, że, obsługując się samodzielnie, człowiek weźmie większą porcję, więc i lodziarnia więcej zarobi, i klient jest bardziej zadowolony, ponieważ cały proces trwa zdecydowanie szybciej. Klient wybiera to, na co ma ochotę, w ilościach, na jakie ma ochotę, a właściciele lodziarni czy restauracji oszczędzają na zatrudnianiu personelu. Albo na przykład taki dziwoląg, jak sypialne autobusy. Śpiąc w komfortowych warunkach, przejedziesz nim przez noc 1000 km za 1/10 ceny biletu lotniczego... Albo autostrady – Brazylia buduje obok siebie dwie autostrady. Jedna tylko dla osobówek, a druga dla ciężarówek. Dlaczego – każdy kierowca to rozumie... Kraj

– przepiękny, różne strefy klimatyczne, kuchnia – rewelacja... Poza tym mentalność tych ludzi jest cudowna. Ich radość życia, optymizm, seksapil. Kobiety... muzyka... Kościół...

Czy może Pan o tym opowiedzieć?

Optymizm, wszechobecna radość – znają to wszyscy. Ale np. brazylijski Kościół katolicki... Zorganizowałem w Brazylii wyprawę misyjną. Barką w dżunglę Amazonii, rzeką Rio Negro, z polskim księdzem Janem Sopickim, by zobaczyć, jak Kościół tam wygląda, jak wygląda taka praca misyjna (a przy okazji – oczywiście – wędkowanie, polowanie, wizyta u Indian w rezerwacie, a na koniec – Copacabana w Rio...). W każdym miejscu, do którego trafiliśmy, płynąc, porządek rzeczy był podobny. Ksiądz wychodził z harmonią na brzeg, grał i śpiewał, a ludzie przychodzili, witali się, później była msza, czy inna postługa. Muzyka była wszechobecna. Zastanawiałem się, dlaczego, gdy ludzie idą tam na mszę, to jest gwar, są rozradowani, przychodzą z gitarami, a zestaw perkusyjny stoi w każdym kościele. Dlaczego połowa mszy to śpiew, taniec i ogromna radość (tak samo było w Rio, itp...), a nie tak, jak u nas – siedzenie na ławce „przed sądem”, „za karę”, z opuszczoną głową przez godzinę człowiek pokornie siedzi, jakby był tym winnym, albo stoi na baczność. A tam ludzie uśmiechnięci, radośni, bawią się, śpiewają, potańcują. Są zadowoleni. I dostałem odpowiedź od ks. Jana. Bolek – na co ludzie czekają cały tydzień? Na RADOSNE spotkanie z Panem Bogiem! Idą tak, jakby szli na imieniny, na zabawę, na przyjęcie i to jest ta radość. Są zadowoleni, są szczęśliwi z tego spotkania. Przychodzą nie za karę, z musu, tylko z przyjaciółmi i rodziną na radosne spotkanie do Pana, a ja jestem zwykłym pośtańcem, równie szczęśliwym z tego powodu. I tak właśnie wygląda Kościół katolicki w Brazylii. Inna mentalność i logika myślenia tropików... Przy okazji – z tej amazońskiej wyprawy misyjnej Mirek wrócił groźnie pokąsany przez nietoperze-wampiry, a ja z atakiem malarii...

Na co trzeba zwrócić szczególną uwagę, wybierając się w nieznany rejon świata?

Nie płacić frycowego i dbać o bezpieczeństwo. Zawsze, gdy się gdzieś samemu leci, po raz pierwszy w egzotyczne strony, to się płaci frycove. Trzeba po prostu wiedzieć, jak i co robić. Można oczywiście grzebać w Internecie, jednak pierwszy raz – jak zawsze mówię – lepiej jest skorzystać z czyjejs pomocy. Przykład: do Mongolii można dotrzeć za kilka tysięcy albo kilkaset złotych... Nie ma problemu, jeżeli człowiek jest bogaty, jednym kliknięciem można kupić w sklepie internetowym składaną, porządną niemiecką produkcję, kanadyjkę, a na miejsce zawieźć ją helikopterem. Natomiast dużo ciekawiej jest nie mieć pieniędzy, bo wtedy człowiek myśli, znajduje i realizuje dobre rozwiązania, a finalnie ma ogromną satysfakcję, że kosztowało go to bardzo mało pieniędzy i tylko dużo myślenia oraz pracy. Zdrowie: wypadek lub choroba wywołują ogromny dramat i zmarują kolegom wyprawę. Zawsze mam wielką apteczkę i „lekarskie” przeszkolenie...

Czy czyta Pan w podróży? Czy bierze Pan książki ze sobą w podróż?

Nie. Zbieranie informacji, każde przeżycie, każde ciekawe doświadczenie wyprawowe można w jakiś sposób zapamiętać albo wykorzystać, natomiast czytanie książki w podróży to jest marnowanie czasu. Lepiej patrzeć godzinami przez okno pociągu transsyberyjskiego niż czytać kryminał. Książkę można czytać w domu, przygotowując wyjazd, i to polecam. Ja nie zabieram ze sobą nic do czytania, natomiast zawsze biorę duży notes. Każda podróż składa się z drobnych przeżyć i odczuć, których się później nie pamięta. Ale gdy napiszesz dwa zdania, czy nawet kilka słów, to wszystko pozostaje na zawsze. Można do tego później wrócić i wykorzystać albo po latach sobie przypomnieć sobie bezcenny drobiazg. Notes jest bardzo ważny. Dyktafon nie, bo notes jest właśnie taki jak książka, można

sobie przypomnieć, na której stronie gdzie co było i sięgnąć do tej konkretnej notatki tak szybko, natomiast w nagraniu na dyktafonie trzeba przesłuchać wszystko. Bardzo dużo notuję. Pamięć ludzka jest zawodna, jeżeli mam 200 stron notatek z pierwszej wyprawy do Mongolii w 1995 r., to w każdej chwili mogę do nich sięgnąć i dzień po dniu sobie przypomnieć, jak to wszystko wyglądało i co tam było po kolei, co przeżyłem, same konkrety. Imiona wpisane przez Mongołów, nazwy... Dlatego zawsze robię setki stron notatek i tysiące zdjęć.

Najpiękniejsza pańska wyprawa to?

Najczęściej wspominam Brazylię. Amazonia z piraniami i „piranie” na karnawałowym Sambodromie... Ale moja najpiękniejsza wyprawa to był spływ kanadyjką rzeką Iderin Gołw w Mongolii. Jeden, wielki, cudowny „panoramiczny” film ze świata „dinozaurów”. I ogromne ryby – tajmienice... Niesamowicie interesujące było również pływanie po archipelagu wysp Palawan małym katamaranem, gdy całe noce spędzałem na nurkowaniu na rafach. Kocham Gambię – piękny kraj, wspaniali ludzie (a jacy przystojni...), a ich dewizą jest powiedzenie „no problem”...

Wydał Pan wiele książek i nie ustaje w pisaniu. Jaki jest przepis na dobrą książkę podróżniczą?

Moją zasadą jest „bawić i uczyć”. Staram się nie chwalić, aby moje książki były mądre, przemycać w nich wiedzę o historii i kulturze egzotycznych miejsc, które odwiedzam. Odkrywać interesujące ciekawostki. Nie krytykować niczego, czego nie rozumiem, ale starać się to zrozumieć i pokazać mądrość miejscowych,

mądrość ich zwyczajów i zachowania, która nam może się wydawać bardzo obca i niekiedy absurdalna. Nie piszę tylko, że w jurcie piłem kwaśny kumys, ale informuję czytelnika, że naprawdę to nazywa się ajrak i czemu ten dziwoląg jest tak popularny na stepie od tysiąca lat... Przeplątałem relacje informacjami z rozmaitych dziedzin. Między opis wędkowania, czy między relacje z nurkowania, rzucam nieco wiedzy o historii, kulturze, społeczeństwie, przyrodzie, różne tajemnice i ciekawostki tak, by pokazać różnorodność i w miarę pełny obraz miejsca, które opisuję. Niektórzy zarzucają mi, że taki sposób wprowadza bałagan, chaos, ale myślę, że dzięki temu moje książki będą ciekawsze. Trochę ma na to wpływ moja wieloletnia praca naukowca... Aby napisać dobrą, mądrą książkę o peryferiach świata trzeba go doskonale poznać i wielu rzeczy doświadczyć na własnej skórze. Dlatego ja, mimo że do Mongolii jeździłem przez 17 lat, to i tak dodatkowo zawsze zapraszam do ich tworzenia partnerów wyprawowych.

A co nowego z Pańskich książek przeczytamy w najbliższym czasie?

Aktualnie wydawana jest przez Mużę moja książka *IRAK – z wędką i kuszą na Patelni Świata*. O moim naukowym kontrakcie w Iraku, śródpustynnych wodach i rybach Mezopotamii, świecie arabskim, islamie i... Szeherazadzie. Przypomina nam słynnego olsztyńskiego żeglarza, mojego przyjaciela i ówczesnego współpracownika, Wiesława Braćława.

Dziękuję serdecznie za rozmowę i – mam nadzieję – do zobaczenia gdzieś na szlaku.

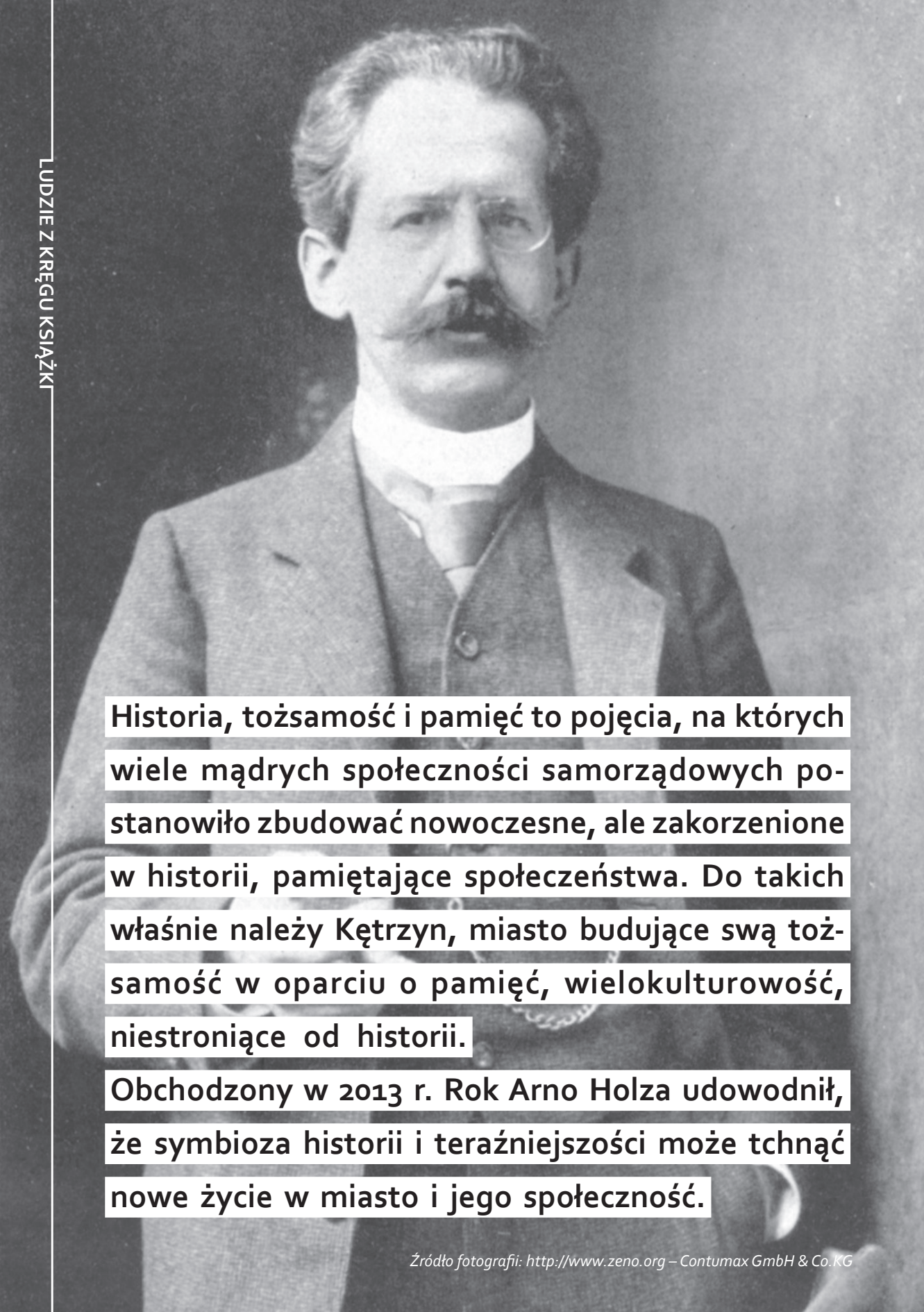
Również dziękuję i do zobaczenia.

alfa **B** et

Tomasza **B**iałkowskiego

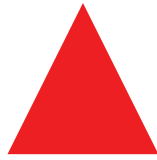


- A**ktywność. Twórcza, zawodowa, fizyczna. Każda. Bez niej nie ma szansy na życiowe spełnienie.
- B**rawura. Czasem potrzebna.
- C**iekawość. Innych ludzi, kultur, poglądów.
- D**obro. Bez rozwijania myśli. W każdej postaci bezcenne.
- E**rudycja. Ostatnio w zaniku.
- F**achowość. Szanuję niezwykle.
- G**łupota. Cóż począć? Najlepiej unikać!
- H**umor. To wielki dar.
- I**nteligencja. Cenię niezwykle u ludzi. Rzecz jasna, tych, którzy ją posiadają. Czasem zazdroszczę.
- J**ęzyk. Bez niego nie ma pisarstwa.
- K**ultura. Ta szeroko rozumiana, jak i osobista.
- L**os. Ludzki. Główny temat moich książek.
- M**arazm. Zaprzeczenie aktywności. Patrz „A”.
- N**adzieja. Jak tlen niezbędna do życia.
- O**dwaga. W wyrażaniu poglądów.
- P**racowitość. Jeśli swojego nie odsiedzisz przy klawiaturze, powieści nie napiszesz.
- R**ozsądek. Wymiennie z rozumem.
- S**zczęście. Trzeba je zwyczajnie mieć, chcąc odnieść sukces.
- T**wórczość. Do oceny pod koniec życia.
- U**pór. Kojarzyć z wytrwałością. W żadnym wypadku z uparciuchem!
- W**olność. Bardzo ważne słowo.
- Z**drowie. Wiem coś o tym.



Historia, tożsamość i pamięć to pojęcia, na których wiele mądrych społeczności samorządowych postanowiło zbudować nowoczesne, ale zakorzenione w historii, pamiętające społeczeństwa. Do takich właśnie należy Kętrzyn, miasto budujące swą tożsamość w oparciu o pamięć, wielokulturowość, niestroniące od historii.

Obchodzony w 2013 r. Rok Arno Holza udowodnił, że symbioza historii i terażniejszości może tchnąć nowe życie w miasto i jego społeczność.



Arno Holz

symbol, patron, poeta

WITOLD GAGACKI

Za niespełna rok minie ćwierć wieku, odkąd żyjemy w nowej rzeczywistości społeczno-gospodarczej, w wolnej, niepodległej Polsce. Dwadzieścia pięć lat to „kawał czasu”. Wiele dobrych i złych wspomnień: pierwszy niekomunistyczny rząd, nowy podział administracyjny kraju, budowa samorządów, zderzenie z gospodarką rynkową (bezrobocie), wolne media. Wszystko to razem sprawiło, że w dobrym tonie było zapomnieć o tym, co przytrafiło się Polsce i Polakom przed 1989 r. Niestety, do jednego worka trafiały wspomnienia godne tego, by znaleźć się na marginesie historii i ludzkich zainteresowań, jak i wspaniałe przejawy polskiej zaradności, sztuki czy kultury. Na szczęście dość szybko przyszło opamiętanie wraz z refleksją, że „nie urodziliśmy się wczoraj”, że w genomie polskości znajdują się również zapisy sprzed pierwszych wolnych wybo-

rów i te jeszcze wcześniejsze. Najtrudniej było „małym ojczyznom”, zwłaszcza na ziemiach przyłączonych do Polski traktatem poczdamskim. Brak spójności etnicznej i lata zaniedbań kulturowych doprowadziły do powstania społeczności niekoniecznie zainteresowanych historią ziem, na których przyszło im żyć. Historia, tożsamość, pamięć to pojęcia, na których wiele mądrych społeczności samorządowych postanowiło zbudować nowoczesne, ale zakorzenione w historii, pamiętające społeczeństwa. Do takich właśnie samorządowych społeczności należy Kętrzyn, miasto budujące swą tożsamość w oparciu o pamięć, wielokulturowość, niestroniące od historii. W 1997 r. z inicjatywy środowisk inteligenckich zostaje powołane do życia Stowarzyszenie dla Porozumienia Polsko-Niemieckiego imienia Arno Holza – poety, dramaturga, teoretyka

Spotkania z poetą zapoczątkowane w 1997 r. przez członków Stowarzyszenia im. Arno Holza dla Porozumienia Polsko-Niemieckiego przerodziły się w pieczołowicie kultywowaną po dziś dzień tradycję.


literackiego modernizmu i twórcy idei konsekwentnego naturalizmu, cenionego przez współczesnych mu znawców literatury, artystów i filozofów. Nieco zapomnianego acz wielkiego pisarza pięciokrotnie nominowanego do literackiej nagrody Nobla, doktora *honoris causa* Uniwersytetu Alberta w Królewcu. 25 października 1997 r. w miejscu, gdzie niegdyś stał dom rodzinny Arno Holza – Apteka pod Czarnym Orłem (obecnie ul. Staromiejaska) – w obecności fundatorów oraz mieszkańców Kętrzyna wmurowana została tablica pamiątkowa autorstwa kętrzyńskiego artysty, Jerzego Stankiewicza. Był to wyraz hołdu i początek drogi zmierzającej do przywrócenia Kętrzynowi kulturowej pamięci. Przed tą datą Arno Holz nie funkcjonował w świadomości społecznej Kętrzyna. Pierwsze próby wydobywania go z otchłani niepamięci pojawiły się wraz z wykładami Jensa Stübena, artykułami prasowymi Erwina Kruka i Tadeusza Korowaja. W 1998 r. w „Borussii” (nr 16) pojawiło się dość wyczerpujące opracowanie historyczno-literackie pióra dr. Jensa Stübena. Za tą literacką aktywnością stali założyciele i działacze Stowarzyszenia im. Arno Holza dla Porozumienia Polsko-Niemieckiego, tacy jak: Krzysztof Hećman (obecny burmistrz Kętrzyna), Eugeniusz Tokarzewski czy Stanisław Tarasiewicz. Jak pisze dr Krzysztof D. Szatravski we wprowadzeniu do wydanych drukiem materiałów z sympozjum historyczno-literackiego, które odbyło się w Kętrzynie 26-27 kwietnia 2013 r., pt. *ARNO HOLZ I JEGO DZIEŁO. W 150. ROCZNICĘ URODZIN*: „Konsekwentne działania zaowocowały w 2002 r. wydaniem przez Stowarzyszenie i Wspólnotę Kulturową »Borussia« pierwszego wyboru wierszy w prze-

kładzie Andrzeja Kopackiego *Trawa zielona, miękka, cudna*. Autorem wyboru, będącego podstawą dwujęzycznej edycji oraz wstępu i zawartego w postłowie szkicu biograficznego, był doktor Dietmar Pertsch. Przygotował on również wydany w Kętrzynie w 2004 roku album *Arno Holz. Obrazy z życia i twórczości*. Spotkania z poetą zapoczątkowane przed 16 laty przez członków Stowarzyszenia im. Arno Holza dla Porozumienia Polsko-Niemieckiego przerodziły się w pieczołowicie kultywowaną po dziś dzień tradycję. Na wniosek Stowarzyszenia rajcy miejscy podjęli uchwałę, którą rok 2013 ogłoszony został w Kętrzynie jako rok Arno Holza”.

I w tym miejscu na scenę wkracza Miejska Biblioteka Publiczna, której powierzono zastrzyt przygotowania planu obchodów i jego realizacji. Pomysłów było wiele. Władze miejskie, które nad wyraz mocno zaangażowały się w śledzenie postępów w przygotowaniach, zaakceptowały plan, gdzie czołową rolę miały odegrać międzynarodowe sympozja historyczno-literackie (w 150. rocznicę urodzin i 84. rocznicę śmierci poety). Podjęliśmy (biblioteka) również starania, by jedna z sal MBP (czytelnia dla dorosłych) w dzień 150. rocznicy urodzin poety, tj. 26 kwietnia br., otrzymała imię Arno Holza. Pomysł trafił na podatny grunt. Biblioteka otrzymała fundusze na przygotowanie do tego doniosłego wydarzenia pomieszczenia czytelni dla dorosłych. W międzyczasie nawiązaliśmy współpracę z literaturoznawcami z Polski i Niemiec (UWM w Olsztynie, Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie, Uniwersytet w Oldenburgu, Uniwersytet Humboldtów w Berlinie, Wolny Uniwersytet w Berlinie), którzy mieli stać się prelegentami przygotowywanych sympozjów. Udało się przetłumaczyć z niemieckiego na polski i odwrotnie dziesięć referatów naukowych traktujących o literaturze Arno Holza i o nim samym. Dodatkowo byliśmy współsprawcami niespodzianki, jaką uczestnikom planowanego na kwiecień sympozjum przygotował burmistrz Kętrzyna, a mianowicie pierwszego wydania

w języku polskim największego dzieła Arno Holza *Phantasusa* w tłumaczeniu kętrzynianina dr. Krzysztofa Szatravskiego (jednego z późniejszych prelegentów sympozjum). Na wydawniczym koncwie biblioteki jako współorganizatora znalazła się również *Śmierć* Arno Holza i Johanna Schlafa pod redakcją kętrzynianina Szymona Jana Pardy. Organizowaliśmy wieczory autorskie, wystawy i spotkania literackie. Wspomniane wyżej kwietniowe sympozjum odbyło się pod honorowym patronatem Sekretarza Stanu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego Piotra Żuchowskiego, w imieniu którego uroczystość zaszczylił doradca ministra Jakub Makowski. Zarząd Miasta oraz Radę Miejską w roli gospodarza reprezentował burmistrz miasta Kętrzyn Krzysztof Hećman, zaś prowadzenie sympozjum przypadło dyrektorowi biblioteki Witoldowi Gagackiemu. Namacalnym efektem kętrzyńskiego sympozjum pn. „Życie i twórczość Arno Holza 1863-1929” jest wydanie drukiem wszystkich wykładów pod redakcją dr. Krzysztofa Szatravskiego. Książka została wydana przez Miasto Kętrzyn przy pomocy finansowej Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego. W przyjętym na 2013 r. planie obchodów Roku Arno Holza znalazła się data 26 kwietnia (drugi dzień sympozjum pn. „Życie i twórczość Arno Holza 1863-1929”) i właśnie dokładnie w 150. rocznicę urodzin Arno Holza Miejska Biblioteka Publiczna zaprosiła mieszkańców Kętrzyna i uczestników sympozjum do swojej siedziby mieszczącej się w kętrzyńskim zamku na uroczyste otwarcie czytelni dla dorosłych. Czytelnia zyskała nie tylko nowy wystrój i nowoczesne wyposażenie, zyskała również imię. Od 26 kwietnia 2013 r. nosi imię Arno Holza. Burmistrz Krzysztof Hećman i dyrektor MBP Witold Gagacki podczas uroczystości otwarcia mówili o nowoczesności, która zagościła w murach biblioteki, o wspaniałym sprzęcie komputerowym i możliwościach z nim związanych, o inicjatywach kierowanych przez bibliotekę do mieszkańców Kętrzyna. Mówili również o planach na najbliższe lata. W obu wystąpieniach można było dostrzec

nutkę optymizmu i dumy z dotychczasowych osiągnięć. Goście mieli okazję zapoznać się z nową czytelnią, obejrzeć fragment filmu zrealizowanego na zlecenie biblioteki przez TVP Olsztyn pt. *Poeci z Prus Wschodnich*. Miesz-



Rok Arno Holza upamiętniają publikacje: pierwsze polskie wydanie największego dzieła poety – *Phantasusa* w tłumaczeniu kętrzynianina dr. Krzysztofa Szatravskiego, *Śmierć* Arno Holza i Johanna Schlafa pod redakcją kętrzynianina Szymona Jana Pardy oraz zbiór materiałów posympozyjnych *Arno Holz i jego dzieło. W 150. rocznicę urodzin* pod redakcją dr. Krzysztofa Szatravskiego.

kańcy Kętrzyna i zaproszeni goście jednym głosem mówili, że takiej czytelni nie powstałyby się największe ośrodki miejskie w Polsce i poza jej granicami. Uroczystego przecięcia wstęgi i przekazania nowej czytelni im. Arno Holza mieszkańcom Kętrzyna dokonali: Burmistrz Miasta Kętrzyn Krzysztof Hećman, Minister Pełnomocny Ambasady Republiki Federalnej Niemiec w Warszawie Joachim Bleicker, w imieniu Sekretarza Stanu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa narodowego Piotra Żuchowskiego doradca ministra Jakub Makowski oraz były Radca Kulturalny Ambasady Republiki Federalnej Niemiec Winfried Lipscher.

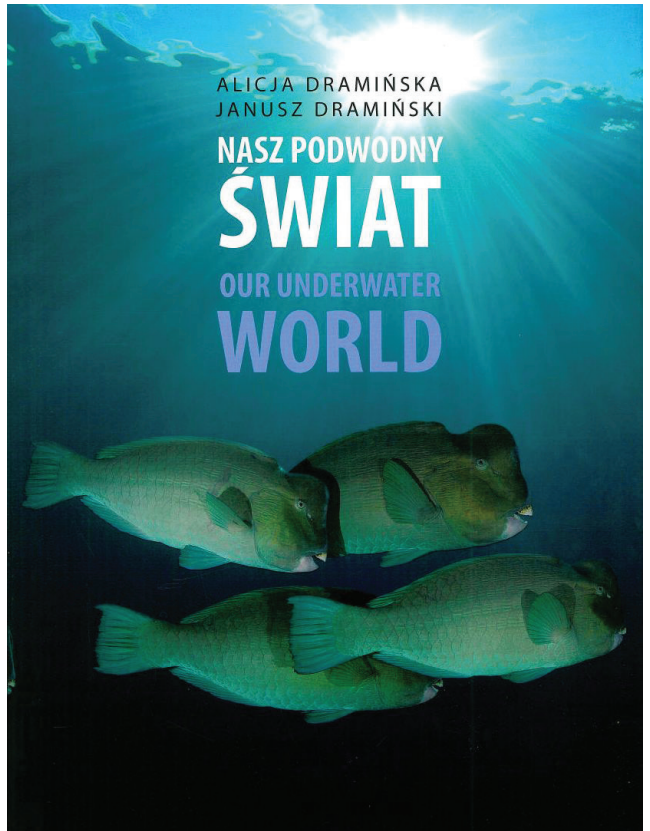
Kończący się 2013 r. dla literackiej pamięci Arno Holza można określić jako przełomowy. Podobnie przełomowym był on dla Miejskiej Biblioteki Publicznej w Kętrzynie (inwestycje, śmiałe plany na przyszłość). Symbioza Holza i biblioteki obojgu przyniosła nowe życie.



podwodne kompozycje

na korale, ukwiały i śpiące statki

Przed nami Nasz podwodny świat Alicji i Janusza Dramińskich. To album liczący 170 stron z ponad stoma wielobarwnymi i ujmującymi pięknem zdjęciami. Znakomicie i niezwykle starannie wydany, wydrukowany w Olsztyńskich Zakładach Graficznych im. S. Pięniężnego w Olsztynie. Autorzy przyznają, że – fotografując – komponowali swoje własne, podwodne wizje.



Od kiedy nurkujecie?

Niemalże od początku lat 60-tych XX wieku. Poznaliśmy się Klubie LOK nad Jeziorem Krzywym w Olsztynie. Ala najpierw żeglowała. Później zainteresowałem swoją przyszłą żonę poznawaniem podwodnych tajemnic. Przez wiele lat startowaliśmy w zawodach orientacji podwodnej w Polsce i za granicą. Wielokrotnie zdobyliśmy tytuł mistrzów Polski i Europy.

Czy to fascynacja podwodnymi widokami skłoniła Was do fotografowania?

Po wielu latach doświadczeń i podwodnych przygód zaczęliśmy wyjeżdżać najpierw do Egiptu nad Morze Czerwone. W tych wodach i przy bogactwie podwodnego świata od razu uświadomiliśmy sobie, czego nam brakowało: aparatu do zdjęć podwodnych.

Jakiego sprzętu używaliście na początku?

Najpierw były to analogowe aparaty Nikonos RS i filmy Fuji. Obecnie pracujemy na aparatach cyfrowych Canon 5D w obudowach typu Secam. Używamy zazwyczaj dwóch lamp błyskowych. Ja stosuję do zdjęć makro i *close-up* (zblizeń) obiektywów 50, 70 i 100 mm. A Janusz obiektywu „rybie oko” o kącie widzenia 180 stopni. To właśnie daje nam niezwykłą możliwość komponowania zdjęć.

W jakich rejonach świata były robione zdjęcia z tego albumu?

Nie tylko w Morzu Czerwonym, ale także na Malediwach, Dominikanie, Indonezji i Archipelagu w pobliżu Meksyku. Niewiele osób o tym wie, ale ten kolorowy, podwodny świat na zdjęciach w rzeczywistości pod wodą jest po prostu szary. Dopiero w świetle reflektorów i błysku fleszy widać, co się fotografuje. Podróżując po świecie, wykonujemy zdjęcia od ponad 20 lat.

Fotografie w albumie podzielone są na różne kategorie: pejzaże, światło i cień, z bliska, duże zwierzęta, nurek pod wodą, śpiące statki, ukwiały, korale, portrety, ryby i żółwie. Dzięki temu mamy możliwość podziwiania różnorodności podwodnego świata. Wiele ryb możemy obejrzeć z bliska. Świat pod wodą jest niezwykle ciekawy, a na fotografiach, chociaż częściowo, odkrywa swoje tajemnice. Ponieważ są to osobiste kompozycje Alicji i Janusza Dramińskich, tym bardziej warto sięgnąć po ten niezwykły album, odkrywający niecodzienny podmorski świat w różnych częściach świata.

Oprac. AD

Dramińska Alicja, Dramiński Janusz, *Nasz podwodny świat = Our underwater world*, Olsztyn, Dramiński Publishing, cop. 2012.



Fot. archiwum A. i J. Dramińskich.



OLSZTYN

MOSKWA

БИБЛИОТЭКАР★

Bibliotekarz *pierwszej* klasy,

czyli egzotyczny, choć niezbyt dziki, Wschód 1964 roku

JAN BURAKOWSKI

Od początku pracy w bibliotekarstwie (w październiku 1956 roku) uprawiałem publicystykę „bibliotekarską” i aktywnie działałem w Stowarzyszeniu Bibliotekarzy Polskich. Zaowocowało to możliwością służbowych wyjazdów za granicę. Nie znałem przyzwoicie żadnego języka „zachodniego”, a posługiwałem się niezłe rosyjskim. Ta okoliczność, w sposób naturalny, ukierunkowała moje możliwości wyjazdów do ZSRR i krajów demokracji ludowej.

W ZSRR przebywałem dwukrotnie. W 1964 roku indywidualnie jako stypendysta Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz w 1984 roku jako uczestnik kursu dla kadry kierowniczej bibliotek publicznych. W obu przypadkach były to pobyty dość długie (miesięczne), pozwalające zbliżyć się nieco do rzeczywistości radzieckiej. Tak się złożyło też, że oba pobyty przypadają na październik i w obu przypadkach była to piękna jesień, ciepłe „babie lato”.

Wyjazd w 1984 roku ograniczał się w zasadzie do pobytu w Moskwie i pozostawił w mej pamięci mniej trwałych wrażeń niż wyjazd pierwszy, gdy poza Moskwą (tu moją bazą była Biblioteka Państwowa im. Lenina) ponad dwa tygodnie spędziłem w „terenie” – w Kalininie (dziś: Twer) i Pskowie oraz w około dziesięciu innych miejscowościach (do wsi kołchozowych włącznie).

Już wstępny etap wyprawy do ZSRR w 1964 roku był bardzo ekscytujący. Wykazał także dobitnie, że skromność i uprzejmość bywa niekiedy wynagradzana przez los.

W dniu poprzedzającym wyjazd w Ministerstwie Kultury i Sztuki dyrektor Czesław Kozioł i czołowa ekspertka w dziedzinie bibliotekarstwa dziecięcego Maria Gutry przekazali mi ostatnie dobre rady i poprosili o spenetrowanie określonych tematów. Następnie w Departamencie Współpracy z Zagranicą otrzymałem paszport, bilety na przeloty lotnicze, wykaz potrzebnych adresów i numerów telefonów w Moskwie oraz 300 rubli na utrzymanie. Następnego dnia rano stanąłem przed schodkami prowadzącymi do drzwi potężnego liniowca LOT-u. Pasażerów było sporo i jak to zwykle bywa, wszyscy chcieli jak najszybciej znaleźć się we wnętrzu samolotu. Ja, onieśmielony pierwszym wyjazdem zagranicznym i pierwszym w życiu lotem, stanąłem na końcu długiej kolejki. Gdy dotarłem wreszcie do obsługi przyjmującej pasażerów – wywołałem spore zamieszanie. Okazało się, że moje miejsce w II klasie jest już zajęte przez osobę dys-

ponującą biletem z takim samym numerem fotela. Takie pomyłki widocznie zdarzały się już wcześniej, bo sprawę wyjaśniono szybko. Przyjmujące mnie stewardessy po dokładnym sprawdzeniu obu biletów skontaktowały się ze swoim przełożonym, przeprosiły mnie i zaprosiły do pomieszczenia I klasy. Okazało się, że jest tam aż kilka wolnych miejsc.



W Departamencie Współpracy z Zagranicą otrzymałem paszport, bilety na przeloty lotnicze, wykaz potrzebnych adresów i numerów telefonów oraz 300 rubli na utrzymanie. Następnego dnia rano stanąłem przed schodkami prowadzącymi do drzwi potężnego liniowca LOT-u.

Wskazane mi miejsce okazało się bardzo dobre – w środkowej części kabiny, przy okienku. Przez pewien czas nie zwracałem uwagi na pasażerów, podekscytowany bieżącymi wydarzeniami – startem, urzekającym pejzażem, spojrzeniem z góry na Warszawę, różnokolorową makatką pól, lasów i rzek Mazowsza. To wszystko trwało krótko, bo samolot wleciał w chmury (było ich w tym dniu nad Warszawą sporo) i zapanował półmrok. Też na krótko – po minucie, dwóch w okienku zabłysło jaskrawe słońce. Nad nami rozpościerał się czysty, jakby świeżo umyty błękit, a pod nami „Antarktyda” – niezmiernie śnieżna biel chmur tworzących rozległe równiny z wypiętronym łańcuchem białych gór na horyzoncie.

„Witam Państwa!” rozległ się z głośników sympatyczny głos. „Mówi kapitan (zapomniałem nazwiska). Lecimy na wysokość 10500 metrów, na zewnątrz temperatura -37°C. Za 25 minut opuścimy przestrzeń powietrzną Polski a o godzinie... (zapomniałem) wylądujemy w Moskwie. Życzę przyjemnej podróży”.

W kabinie zapanowało ożywienie. Rozpięliśmy pasy, niektórzy pasażerowie wstali, by „rozprostować kości”. Znaczna ich część znała się nawzajem, przysiadali przy sobie, rozmawiali. Nasyciwszy się do syta atrakcjami pierwszego w życiu lotu i ja zainteresowałem się współtowarzyszami. Sporo twarzy wydało mi się znajomymi z widzenia z „pierwszych stron gazet”, choć większości nie potrafiłbym wymienić z nazwiska. Równoległe do mojego fotela, po drugiej stronie przejścia siedziała para – przy oknie piękna, młoda blondynka, przy niej już szpakowaty, ale bardzo przystojny, sympatyczny mężczyzna o śródziemnomorskiej urodzie. Co do kobiety nie miałem żadnych wątpliwości – to Lucyna Winnicka. Widziałem przecież jej twarz setki razy z ekranu, z czasopiśm, byłem też przed kilkoma laty, w czasie studiów, na spotkaniu z realizatorami filmu *Pod frygijską gwiazdą* (Madzia!) – wkrótce po jego sukcesie na festiwalu w Karlowych Varach (1955 r.). Twarz jej towarzysza wydawała mi się też znajoma, choć nie potrafiłem skojarzyć jej z nazwiskiem. Para ta na początku lotu prowadziła ożywioną rozmowę po rosyjsku, choć można to też było nazwać monologiem pani Lucyny (w dość spolszczonej ruszczyźnie). Jej towarzysz wtrącał od czasu do czasu krótkie zdania, ale na ogół ograniczał się do potakiwania.

Po kilkunastu minutach lotu nad chmurami pani Winnicka przeprosiła towarzysza i ruszyła w „teren”. Przysiadła przy niektórych pasażerach (prawdopodobnie samolotem leciała grupa filmowców na jakiś przegląd lub pokaz), żartowała, pytała o coś stewardesy, wymieniła też kilka zdań z przechodzącym członkiem załogi samolotu. Na swoje miejsce wróciła nieprędko. Gdy odchodziła, jej towarzysz jakby subtelnie odetchnął z ulgą, a gdy nasze spojrzenia spotkały się, uśmiechnął się lekko.

Wyjąłem z podręcznej teczki ostatni numer miesięcznika „Bibliotekar”, przy tej czynności wypadła na podłogę kartka z notatkami. Mój współtowarzysz, choć człowiek już niemłody,

schylił się błyskawicznie i podał mi kartkę. A potem wyciągnął rękę do powitania: „Kałatozow, Michaił”. Zapewniłem gorliwie, że to nazwisko znam doskonale. Zgodnie z prawdą, bo film *Lecą żurawie* oglądałem kilkakrotnie, a nazwisko reżysera (Kałatoziszwili), z pochodzenia Gruzina, często występowało w prasie. Tak rozpoczęła się między nami dłuższa pogawędka, którą przerwał dopiero powrót pani Lucyny krótko przed lądowaniem w Moskwie. Pretekst do jej podjęcia dało moje czasopiśmo. „Wy bibliotekar?” – spytał Kałatozow.



Sporo twarzy wydało mi się znajomymi z widzenia z „pierwszych stron gazet”, choć większości nie potrafiłbym wymienić z nazwiska. Równoległe do mojego fotela, po drugiej stronie przejścia siedziała para – przy oknie piękna, młoda blondynka, przy niej już szpakowaty, ale bardzo przystojny, sympatyczny mężczyzna o śródziemnomorskiej urodzie. Co do kobiety nie miałem żadnych wątpliwości – to Lucyna Winnicka.

Potwierdziłem. „Warszawskij? Direktor?”. „Niet”, odpowiedziałem – „Obykowniennyj bibliotekar iż goroda Olsztyn”. „Wot charaszo, bibliotekar obyknowiennyj, prostoj, no pierwowo kłassa!” – uśmiechnął się mój rozmówca. Krótko zreferowałem, gdzie i po co jadę. Wspomniałem o moich incydentalnych spotkaniach z czerwonooarmistami w końcowej fazie wojny – o czołgistach wracających pieszo „do swoich” po nieudanym rajdzie czołgowym ku Warszawie w lipcu 1944 roku i o ekipie lekarskiej z piękną panią doktor, w styczniu 1945 roku pod Łowiczem. – „Straszna rzecz wojna”, westchnął reżyser. „Ja wojowałem filmem, ale

z mojej bliższej rodziny zginęło osiem osób. Wspomniat Pan o pięknej lekarce... Krewna mojej żony też była lekarzem wojskowym. Zginęła na Białorusi już w lipcu 1941 roku”.

Tak nietypowo rozpoczęta wyprawa w całości była bardzo udana, choć zdarzały się i chwile kłopotliwe.

ZSRR w roku 1964 bardzo różnił się od Polski tego okresu w wielu dziedzinach. Rzucano się w oczy powszechne ubóstwo. Większość mężczyzn nosiła ubrania „drelichowe”, także wybitni fachowcy. Często trudno było na pierwszy rzut oka odróżnić wybitnego bibliotekarza czy lekarza od woźnego czy szatniarza. Ubogie było wyposażenie urzędów i bibliotek, stare były autobusy i tramwaje, zniszczone elewacje budynków, nawet w centrum Moskwy. Nierzadki był widok ekspedientek z wiaderkiem farby i śrubokrętem w ręku odnawiających elewacje swoich sklepów lub naprawiających zamki. Wybór towarów był skromny (z nielicznymi wyjątkami – o tym dalej). Artykuły spożywcze – łącznie z wędlinami i rybami – sprzedawcy zawijali w gazety, posiłki w popularnych jadłodajniach („stołoweje”) były bardzo mało urozmaicone. Polska 1964 roku jawiła się na tym tle jako kraj o wyższej stopie życia. Ale jeszcze bardziej jaskrawo dostrzegalne było „wyciszenie” społeczeństwa. Polacy po październiku 1956 roku byli społeczeństwem rozgadany, omawiano i krytykowano wszystko i wszędzie – w rodzinie, na ulicy, w zakładach pracy. W ZSRR ludzie nie podejmowali raczej rozmów na tematy publiczne, zbywając naga-bywanie twierdzeniem, że jest dobrze, bardzo dobrze.

W tym czasie jeszcze prawie w centrum Moskwy były całe rozległe dzielnice o niskiej, drewnianej zabudowie, często budowle z resztkami pięknych, rzeźbionych ozdób. Specyfiką „miejskiej” Rosji 1964 roku był także brak chodników dla pieszych we wsiach, miasteczkach, a nawet na przedmieściach Moskwy. Miało to nawet specyficzny urok – gdy



Rzucano się w oczy powszechne ubóstwo. Większość mężczyzn nosiła ubrania „drelichowe”, także wybitni fachowcy. Często trudno było na pierwszy rzut oka odróżnić wybitnego bibliotekarza czy lekarza od woźnego czy szatniarza.

Na tym, ogólnie ubogim i szarym, tle dobitnie wyróżniały się w Moskwie ślady dawnej – i nadchodzącej – wielkości: Kreml, wysokościowce, moskiewskie metro.

między nowymi blokami szło się wydeptanymi, szerokimi lub węższymi ścieżkami wśród wiejskiej zieleni do kolan (ale pewnie już jesienią i zimą, gdy było mnóstwo błota lub śniegu, nie było to już przyjemne).

Na tym, ogólnie ubogim i szarym, tle dobitnie wyróżniały się w Moskwie ślady dawnej – i nadchodzącej – wielkości. Już z góry, gdy samolot podchodził do lądowania, można było podziwiać liczne wysokościowce („bracia” Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie) i imponującą bryłę budowli i obwałowań Kremla. Pierwszy przejazd moskiewskim metrem zapierał dech w piersiach. Trudno się było zdecydować, co bardziej podziwiać – nowoczesność i sprawność kolei, kilometry ruchomych schodów czy artystyczną wizję dworców i przystanków. Trzeba też było podziwiać ogólną racjonalność moskiewskiego transportu – setki kilometrów metra, z rozmachem zaplanowane ulice i obwodnice („kolcowoje”) zapewniały wówczas w wielomilionowym mieście sprawny dojazd do pracy i szkół. Wręcz nie pasowało to do ubożego tła.

Jak wspomniat już wyżej, wybór towarów był skromny, z trzema wyjątkami. Liczne sklepy jubilerskie olśniewały „hektarami” gablot



Wybór towarów był skromny,
z kilkoma wyjątkami. Liczne sklepy
jubilerskie olśniewały „hektarami”
gablot z wyrobami ze złota i srebra,
z kamieniami szlachetnymi
i półszlachetnymi, bursztynami,
zadziwiająco tanimi w porównaniu
z wyrobami w Polsce.

Drugi wyjątek to sklepy z wyrobami
futrarskimi – od zwyczajnych
kożuchów baranich poprzez
rozmaite egzotyczne kozy, norki,
szynszyle i sobole.

No i wreszcie lody i napoje.

z wyrobami ze złota i srebra, z kamieniami
szlachetnymi i półszlachetnymi, bursztynami,
zadziwiająco tanimi w porównaniu z wyro-
bami w Polsce (przywożłem Halince piękny
pierścionek z akwamarynem). Drugi wyjątek
to sklepy z wyrobami futrarskimi – od zwy-
czajnych kożuchów baranich poprzez rozma-
ite egzotyczne kozy, norki, szynszyle i sobole
(te już nie na ruble „stypendiata”). No i wresz-
cie lody i napoje. Mimo późnej jesieni co krok
w sklepach i kioskach lody w „stu” smakach
oraz pyszne napoje owocowe i kwas chlebowy
– szklanka za 10 kopiejek.

Tłum na moskiewskim ulicach różnił się rady-
kalnie od warszawskiego. Nie tylko strojem.
Mnóstwo egzotycznych twarzy. Co krok Mu-
rzyni, Azjaci, Arabowie i Latynosi (w 1964 roku
widziało się ich w Warszawie niewiele). Także
rysy twarzy większości rodowitych Moskwian
wskazywały, że znajdujemy się na pograniczu
słowiańsko-mongolskim, a i Kaukaz niedale-
ko. Pokażną domieszkę krwi tatarskiej można
było dostrzec także w Kalininie (w Twerze), ale
Psków jest już nieskazitelnie słowiański. Ze-
spół pracowników Pskowskiej Biblioteki Ob-
wodowej twarzami nie różnił się od biblioteka-

rzy olsztyńskich. Moja opiekunka w Bibliotece
im. Lenina, pani Władimirowa, mogła służyć
za wzorzec rasy nordyckiej (wysoka, szczupła
blondynka z niebieskimi oczami), ale dyrek-
torka Obwodowej Biblioteki w Kalininie, pani
Wiera Zajcewa, i jej śliczna córka – maturzyst-
ka, która towarzyszyła mi na spektaklu w te-
atrze, miały niewątpliwie sporą domieszkę
krwi tatarskiej. Dyrektor Biblioteki im. Lenina,
który zaszczycił mnie rozmową, był Ormiani-
nem.

Organizatorzy pobytu, tak moskiewscy jak
i terenowi, zaplanowali poza programem bi-
bliotecznym sporo atrakcji kulturalnych i re-
kreacyjnych. Byłem więc na kilku spektaklach
teatralnych, zwiedziłem z szybkością rakiety
kosmicznej czołowe radzieckie muzea i inne
atrakcyjne obiekty. Moskiewskie turystycz-
no-kulturalne atrakcje przyniosły niezapo-
mniane wrażenia, bo ostatecznie niewiele jest
miejsc na świecie, gdy w jednej sali muzealnej
można obejrzeć z bliska kilka wielkich płócien
„wczesnego” Picassa (Muzeum im. Puszkina)
lub całe tony pięknych wyrobów ze złota i dro-
gich kamieni (Muzeum Kremlowskie). Zapadł
też w mojej pamięci pobyt w Borodino (mu-
zeum i panorama bitwy z 1812 roku), a także
spotkanie w Domu Związków z dwoma moimi
ulubionymi poetami naraz – z Bułatem Oku-
dżawą i Stiepanem Szczipaczowem (to już
1984 rok).

Moskwa Moskwą, ale jednak najtrwalsze
wspomnienia pozostawił w mej pamięci
Psków i okolice. Dziś jest to niezbyt duże
(około 200 tysięcy mieszkańców) i raczej pe-
ryferyjne miasto. Mimo jednak poważnych
zniszczeń w czasie II wojny światowej (zacie-
kłe walki o Psków utrwalono w panoramie
obrony Pskowa) wiele to reliktyw wielkiej,
ponad 1000-letniej historii miasta – pskowski
Kreml, resztki potężnych murów obronnych
i obwałowań, cerkwie i monastypy z XII i XIII
wieku. Niedaleko Pskowa, tuż przy granicy
z Estonią, zwiedziłem cudem ocalały w czasie
wojny przepiękny klasztor – Ławrę Peczero-

-Pskowską, zlokalizowaną w dolinie otoczonej porośniętymi sośniną wzgórzami. W podziemiach Ławry ogromne wrażenie wywierają ciała zakonników i okolicznych ziemian, zmuśmifikowane dzięki specyficznemu klimatowi. Tu spoczęła zgodnie ze swoją ostatnią wolą już po II wojnie światowej sędziwa księżna (Oboleńska?), zmarła w latach 50-tych w USA. Miałem też możliwość zwiedzenia Muzeum Puszkina we wsi Michajłowskoje (majątek rodziny Puszkiniów, z którym Poeta był bardzo związany emocjonalnie). Pobyt tu pozostawia niezapomniane wrażenia. Odtworzono dworek i jego otoczenia w najdrobniejszych szczegółach według stanu wiedzy o przełomie XVIII i XIX wieku. Oryginalne portrety Poety i jego rodziny, meble i inne bibeloty z epoki, biała ławeczka pod potężnym krzewem bzu. Odczuwało się, że zespół pracowników Muzeum pracuje „z sercem”. Puszkiniowi ofiarowano nie tylko muzeum, ale i „kawałek dawnej Rosji”. Michajłowskoje znajduje się w Rezerwacie Puszkiniowskim obejmującym poza tą wsią Monastyr Świątogorski w Puszkińskich Gorach i jeszcze dwa przysiółki. Niczego tam nie można zmieniać i wszystko ma trwać w formie, którą widział poeta. Przywiozłem do Olsztyna pamiątkowy medal i dyplom z piórem gęsim.

W piękną, słoneczną niedzielę październikową postanowiłem zwiedzić wielki, stary cmentarz, rozłożony na skłonie wzgórz w zachodniej części miasta. Sporo tam interesujących nagrobków i ich szczątków od początku XIX wieku. Najbardziej jednak zafrapowało mnie co innego. Byłem tam tuż przed Świętem Zmarłych, na licznych mogiłach położono jabłka, w większości czerwone. Wyjaśniono mi w Bibliotece, że jest to relikwiarz starostwoiańskiego obyczaju karmienia zmarłych (zobacz: *Dziady* Adama Mickiewicza). Relikwiarz, ale wzruszający i poruszający. Od czasu tego pobytu w Pskowie odwiedzając cmentarze, przynoszę czasem moim zmarłym czerwone jabłuszka...

Psków i jego okolice były w czasie II wojny światowej terenem zaciętych walk, przeżyły

także 2-letnią okupację niemiecką. Jej efekty to nie tylko zniszczenie zabudowy. Odwiedziłem bibliotekę w dużej wsi w rejonie noworżewskim. Ładnie urządzona, spory księgozbiór w trzech izbach nowo zbudowanego Domu Kultury. Cała wieś właściwie nowo zbudowana, jak „spod igły”. Spytałem o przyczynę



Miałem też możliwość zwiedzenia Muzeum Puszkina w majątku rodziny Puszkiniów we wsi Michajłowskoje. Pobyt tu pozostawia niezapomniane wrażenia. Odtworzono dworek i jego otoczenia w najdrobniejszych szczegółach według stanu wiedzy o przełomie XVIII i XIX wieku. Oryginalne portrety Poety i jego rodziny, meble i inne bibeloty z epoki, biała ławeczka pod potężnym krzewem bzu.

braku starych chat. Przewodniczący kołchozu, mąż bibliotekarki, uśmiechnął się smutno. – „Przed wojną zabudowa była wyłącznie drewniana, nie ocalał ani jeden dom. Kilka lat po 1944 roku mieszkaliśmy w ziemiankach, dopiero w początkach lat 50-tych zbudowano wieś na nowo”. Pokazał mi izbę pamięci o ofiarach wojny w Domu Kultury. Jedną ścianę prawie w całości zajmował wykaz poległych i pomordowanych w czasie wojny. Z około tysiąca mieszkańców wsi zginęło 348 osób (w tym dwie osoby wyróżnione tytułem Bohatera ZSRR). Spośród 87 mężczyzn urodzonych we wsi w latach 1918-1921 przeżyło pięciu, w tym dwóch to inwalidzi. „No, ale odbudujemy naród rosyjski” – zażartowała bibliotekarka. „My mamy trzech synów i dwie córki”.

Mój pobyt w ZSRR obfitował też w wydarzenia i sytuacje anegdotyczne. W drodze do muzeum w Michajłowskoje zepsuł się wiozący

nas samochód przy wjeździe do małego miasteczka Pustoszka. Dzięki operatywności kierowcy usterkę usunięto dość szybko, ale jednak około dwóch godzin byliśmy niezapowiedzianymi gośćmi w miejscowej bibliotece. Sympatyczna, niemłoda bibliotekarka



Jedną z atrakcji miasteczka był doktor Oleg Kowgier. Ceniony i lubiany lekarz, mimo pewnej swej słabości. Otóż doktor Kowgier był ojcem dziesięciorga dzieci – czworga od ślubnej małżonki i sześciorga od innych kobiet. W większości matkami były reprezentantki miejscowej elity inteligenckiej (bo po wojnie, także w Pustoszce, deficyt mężczyzn był dotkliwy). Ten wątek posłużył mi po 20 latach do napisania opowiadania *Kogut pana Jasielskiego*.

poczęstowała nas herbatą i ciastem jabłkowym (Pskowczyzna to rejon uprawy jabłoni), a także informacjami o życiu Pustoszki. Jedną z atrakcji miasteczka był doktor Oleg Kowgier. Ceniony i lubiany lekarz, mimo pewnej swej słabości. Otóż doktor Kowgier był ojcem dziesięciorga dzieci – czworga od ślubnej małżonki i sześciorga od innych kobiet. W większości matkami nie były jakieś pierwsze lepsze kobiety, lecz reprezentantki miejscowej elity inteligenckiej (bo po wojnie, także w Pustoszce, deficyt mężczyzn był dotkliwy). Ten wątek posłużył mi po 20 latach do napisania opowiadania (*Kogut pana Jasielskiego*). W Sierpcu nikt nie chciał uwierzyć, że temat „złapałem” na dalekim Wschodzie. W mazowieckim miasteczku prototypami doktora Kowgiera mogło być aż dwóch panów (w tym jeden lekarz). A więc *nihil novi sub sole!*

Do gatunku anegdotycznych zaliczyć też można niektóre polonica, z którymi się zetknąłem. W Bibliotece Obwodowej koleżanki, chcąc mi zrobić przyjemność, pokazały mi dwie książki o swoistościach języka północnej Rosji, pióra Andrieja Burakowskiego, w początkach XX wieku profesora gimnazjum w pobliskim Nowogrodzie Wielkim. Niestety nie miałem żadnej wiadomości o członku mojej rodziny, który by wrósł w glebę rosyjską.

W Moskwie przy każdym skrzyżowaniu ważniejszych ulic był wtedy kiosk z informatorem, który za 10 kopiejek przekazywał na karteczce informacje o adresie poszukiwanej osoby, z podaniem numeru telefonu (jeśli poszukiwany posiadał), a nawet danymi o możliwościach dojazdowych (linia metra, autobusu lub tramwaju). Z usługi tej kilkakrotnie korzystałem – między innymi by dotrzeć do Julii Okuńkowej, której przekazałem podarunek od jej przyjaciółki Zofii Kicińskiej (wówczas zastępcy kierownika Wydziału Kultury PWRN w Olsztynie). Były to m.in. płyty z najnowszymi piosenkami z kręgu „Stodoły”.

Pewnego razu, gdy poprosiłem o informację, siedzący w kiosku starszy mężczyzna uśmiechnął się, wskazał ręką i powiedział bardzo czystą polszczyzną: „Naprzeciwno, proszę Pana” (widocznie moja ruszczyzna miała bardzo polski akcent).

Jedno z „poloniców” wiązało się z wydarzeniami niezbyt dla mnie przyjemnymi. Mianowicie zafascynowany Pskowem przedłużyłem pobyt w tym mieście o jeden dzień. Gdy po powrocie do Moskwy zgłosiłem się do hotelu „National”, okazało się, że w związku z niezgłoszeniem się określonego dnia wykreślono mnie z listy gości, a wolnego pokoju już nie ma. Bezradnemu miłośnikowi Pskowa recepcjonistka poradziła, bym zadzwonił do ambasady lub konsulatu polskiego (odpowiednie numery telefonów przekazano mi w Warszawie). Pracownik konsulatu, z którym nawiązałem kontakt, niezbyt miłym głosem kazał mi czekać, aż „oni” posta-

rają się coś znaleźć. Poszukiwania nie trwały zbyt długo, bo po niespełna godzinie podjechał samochód i zawieziono mnie do hotelu „Urał”. Był to hotel nie tak elegancki jak „National”, ale całkiem wygodny. Niestety przydzielono mi pokój nie w głównym gmachu, a w starej oficynie o rodowodzie chyba jeszcze przedrewolucyjnym, skromnie wyposażony i o niezbyt szczelnych oknach (a ostatnie dni października były już chłodne). Mimo to byłem szczęśliwy, że wybrnąłem jakoś z opresji. Pewnego wieczoru przebudziła mnie z pierwszego snu kłótnia na podwórku. Jakaś para wymieniała się oskarżeniami, nie szczędząc słów „powszechnie uznanych za obraźliwe” (piękny język rosyjski ma ich wielki wybór). Stroną wyraźnie agresywną była kobieta, mężczyzna odzywał się rzadko. Ten wartki potok oskarżeń i epitetów płynął w języku rosyjskim, ale w pewnym momencie kobieta zaczęła „sobaczyć”... po polsku. I to nie byle jak. Jej potoczystego języka nie powstydzili się żaden „szemrany facet” z Pragi czy Targówka, a i Wiech słuchałby z satysfakcją. Niestety, tą enklawą polszczyzny w centrum nocnej Moskwy napawałem się krótko, bo zjawiał się patrol milicyjny i błyskawicznie uciszył głośną parę.

Między moim pierwszym (w październiku 1964 roku) a drugim (w październiku 1984) pobycem Związek Radziecki zmienił się ogromnie pod każdym względem. Powszechną biedę i szarość zastąpił względny dostatek, tłum na ulicach Moskwy w 1984 roku nie różnił się zbyt wiele od warszawskiego. Ludziom rozwiązały się języki. O ile w 1964 roku w ZSRR o ZSRR można było mówić tylko dobrze, o tyle w 1984 roku normą stało się narzekanie. Wszyscy, włącznie z odpowiedzialnymi pracownikami Komitetu Centralnego KPZR wykładającymi na naszym kursie, psioczyli na stosunki w kraju, na słaby rozwój, brak wizji i przyszłości. Martwili się tym, że szybciej rozwijają się już nie tylko USA i kraje zachodnioeuropejskie, ale także Chiny. Można było wyczuć, że pod „rządami starców” (Susłow, a potem Czernienko) „rosyjski niedźwiedź” buntuje się. Andrzej Gordon, kierownik

organizacyjny naszego kursu z ramienia Ministerstwa Kultury i Sztuki, przewidywał, że ZSRR stoi u progu przemian. Ale nikt nie przypuszczał, że za 10 lat nie będzie już w ogóle ZSRR, a Rosja pod pijanymi rządami Borysa Jelcyna zmieni się w kraj kapitalizmu, może nie najdzikszego, ale bardzo egzotycznego.



Mój pobyt w ZSRR obfitował też w sytuacje anegdotyczne.

Zafascynowany Pskowem przedłużyłem pobyt w tym mieście o jeden dzień. Gdy po powrocie do Moskwy zgłosiłem się do hotelu „National”, okazało się, że w związku z niezgłoszeniem się określonego dnia wykreślono mnie z listy gości, a wolnego pokoju już nie ma.

Samolotem latałem później wielokrotnie, ale już nigdy więcej za skromność i uprzejmość nie zostałem nagrodzony pierwszą klasą – choć na ogół wchodziłem do wnętrza samolotu jako ostatni.



Odpicuj sobie wozek

sponsor:



MACIEJ RYNARZEWSKI

Wózek biblioteczny to bardzo proste urządzenie, coś jakby mini regał na kółkach. Dzięki niemu praca bibliotekarza jest odrobinę bardziej znośna. Co prawda nie mam zielonego pojęcia, kto ani kiedy go wynalazł, ale należę mu się za to wyrazy uznania i szacunek milionów bibliotekarzy na całym świecie, którzy zamiast dźwigać tony woluminów na swych barkach, wygodnie rozwożą książki. Skoro to takie ważne i użyteczne narzędzie, to może wypadałoby je docenić? Jak to zwykle bywa...

Wszystko zaczęło się w 2004 roku, kiedy stacja muzyczna MTV rozpoczęła emisję programu „Pimp my ride”, czyli „Odpicuj mi brykę”. Program polegał na przebudowywaniu, czyli tytułowym „odpicowywaniu” seryjnie produkowanych samochodów w luksusowe pojazdy godne gwiazd rocka. Jeśli komuś zamarzyło się jacuzzi zamiast tylnego siedzenia lub 40-calowa plazma w bagażniku, to dzięki temu programowi mógł zrealizować swoje marzenia. Seria okazała się popkulturowym fenomenem i doczekał się wielu pochodnych: od remontów pokoiów, po odpicowywanie rowerów. Zdecydowanie jednym z najdziwniejszych *spin-offów*, bijącym nawet rosyjskie „Odpicuj moje sanie”, okazał się bibliotekarski „Pimp my bookcart”.

Pimp My Bookcart

Za jego powstanie odpowiedzialni są twórcy jednego z najbardziej znanych komiksów bibliotekarskich na świecie, *Unshelved* – Gene Ambaum i Bill Barnes. W 2006 roku trochę dla żartu ogłosili konkurs, który ostatecznie doznał się pięciu edycji w latach 2006-2010.

Zadaniem, które postawiono przed chętnymi do wzięcia udziału w konkursie „Pimp my bookcart”, było, nawiązując do samochodowego pierwowzoru (wszak wózek także posiada cztery kółka), stworzenie najlepszej modyfikacji zwykłego bibliotecznego wózka na książki. Wykorzystując wszelkie możliwe środki, bibliotekarze zabrali się za przeistoczenie nudnego wózka w barwne, wyraziste i funkcjonalne dzieło sztuki. W pierwszej edycji dość spontanicznie ogłoszonego konkursu wzięło udział ponad 100 wózków, a odzew zaskoczył samych organizatorów. W 2006 roku główną nagrodę zdobył wózek o nazwie Różowy Cadillac, przerobiony na styl kultowego amerykańskiego samochodu. Kolejny rok przyniósł jeszcze większą ilość zgłoszeń, wśród których znalazły się między innymi wózek-mamut, robot R2D2 czy Drzewo Wiedzy. (Zdjęcia zwycięzców poszczególnych edycji można oglądać na stronie unshelved.com). Ostatnią edycję amerykańskiego konkursu przeprowadzono w 2010 roku.

Odpicuj sobie wózek

W 2009 powstał portal dla bibliotekarzy Pulowerek.pl, który specjalizuje się w rozrywce i rozjaśnianiu mroków bibliotekarskiego życia. Szybko trafiłem na informację o amerykańskim „Pimp my bookcart” i zamarzyło mi się zorganizowanie podobnej zabawy dla naszych czytelników. Jesienią 2010, razem z firmą Gropius, udało nam się zorganizować polską edycję pod nazwą „Odpicuj sobie wózek”. Idea spodobała się polskim bibliotekarzom. Otrzymaliśmy pięć zgłoszeń, każde równie oryginal-

ne i pomysłowe, na swój własny sposób¹. Jednej z uczestniczących w naszym konkursu nie przeszkodził nawet brak wózka, bibliotekarze zaimprovizowali go z aluminiowego stelaża, kartonu i gumowych linek. Zwycięzcą pierwszej edycji głosami czytelników Pulowarka został stylizowany na koguta wózek z Biblioteki Zespołu Szkół nr 55 im. St. Maczka w Warszawie, do której powędrowała główna nagroda ufundowana przez firmę Gropius, czyli nowiutki wózek biblioteczny.

Dwa lata zajęło nam zorganizowanie drugiej polskiej edycji konkursu i na początku października 2013 roku, ponownie przy współpracy z firmą Gropius, ogłosiliśmy szal na niezwykle pojazdy biblioteczne. Wśród zgłoszonych propozycji znalazły się m.in. wariacja na temat dyniowego powozu z bajki o Kopciuszku, wózek-piekarnik, z którego książki rozchodzą się niczym świeże bułeczki, czy – przeznaczony dla bardziej dojrzałego czytelnika – Wózek Grey’a. Główna nagroda, zestaw narzędzi i materiałów do okładania książek, trafiła do Gminnej Biblioteki Publicznej im. Jana Pawła II w Mierzęcicach.

Dlaczego warto odpicować wózek?

Podobnie jak dla twórców amerykańskiej edycji konkursu, tak i dla mnie, wszyscy uczestnicy są zwycięzcami, ponieważ podjęli dość rzadki dziś wysiłek bycia kreatywnym bez żadnego logicznego powodu oraz wzięcia udziału w całkowicie abstrakcyjnym (choć opatrzonym nagrodami) akcie twórczym. W Stanach Zjednoczonych zabawa ta okazała się nie tylko ściśle branżowym konkursem, ale także świetną zabawą dla czytelników w różnym wieku, którzy aktywnie włączali się w „odpicowywanie” wózków, integrując się i włączając w życie swojej biblioteki. I o to chodzi.

¹ Wszystkie wózki konkursowe obejrzeć można w galerii Pulowarka na portalu Flickr.

A large, stylized, black letter 'P' is centered at the top of the page. It is flanked by two horizontal lines that extend to the left and right edges of the page.

Pomysł na...

Książkę i rower

KAMILA RADZIMIŃSKA-ARCZAK

Jeśli marzy nam się niecodzienne działania na rzecz czytelnictwa, „uruchomienie książek z półek”, ruszenie bibliotekarzy znad biurka, a przy okazji integracja z lokalnymi rowerzystami, to ogólnopolska akcja „Odjazdowy Bibliotekarz” jest świetnym pomysłem.



Wspólny cel

W Olsztynie zawiązała się koalicja między Miejską Biblioteką Publiczną a Stowarzyszeniem Aktywności Społecznej „Młyn”, które od lat zajmuje się m.in. promowaniem wszelkich aktywności związanych z rowerami. Biblioteka miała pomysł i chęci, aby dołączyć do akcji „Odjazdowy Bibliotekarz”, ponieważ wcześniej już nieraz wychodziła ze swoimi działaniami poza mury bibliotek, natomiast działacze Stowarzyszenia „Młyn” wiele razy dali się poznać jako sprawni i pomysłowi organizatorzy ze sporym bagażem doświadczeń w prowadzeniu tego typu przedsięwzięć. Wspólnie postanowiono skorzystać z zaproszenia do ogólnopolskiej akcji, aby kilkudniowymi działaniami objąć teren całego Olsztyna, zaktywizować wszystkie placówki MBP, a do zabawy zachęcić rowerzystów nie tylko z Olsztyna, ale także z pobliskich miejscowości. Działania miały być „proste w obsłudze”, wymagające niewielkich środków, atrakcyjne i dostępne dla szerokiego grona odbiorców oraz przewidujące możliwość włączenia się całych rodzin czy grup szkolnych. Z pełną świadomością takich właśnie cech przyszłego działania, bazując na licznych imprezach zorganizowanych przez „Młyn” i znając aktualne upodobania rowerzystów, postanowiono, że „Odjazdowy Bibliotekarz” obejmie 4-dniową grę miejską, której finałem będzie wycieczka rowerowa do podolsztyńskiej biblioteki w Sząbruku. Oczywiście z różnych względów nie wszyscy bibliotekarze mogli aktywnie uczestniczyć w działaniach zaplanowanych w plenerze, ale zdecydowana większość z nich brała bezpośredni udział w akcji poprzez np. obsługę punktów kontrolnych zlokalizowanych we wszystkich placówkach MBP.

2012

W roku 2012 gra była przeznaczona praktycznie dla wszystkich chętnych, którzy mieli odrobinę czasu na odwiedzenie dowolnej liczby bibliotek (miejskich lub wojewódzkich)

na terenie Olsztyna, by odebrać tam specjalne kupony. Kupony w prosty sposób stawały się losami, wśród których losowano mnóstwo ciekawych nagród rzeczowych. W ramach gry codziennie można było na nowo „zaliczać” te same biblioteki i zbierać nowe kupony, aby zwiększyć swoje szanse w finałowym losowaniu. W zabawie wzięło udział 18 bibliotek. Najbardziej aktywnym uczestnikom gry udało się wykonać 100% przewidzianej normy, a więc zebrać 72 kupony! W celu odwiedzenia wszystkich bibliotek poświęcali na to kilka godzin dziennie, specjalnie opracowywali trasę przejazdu do swoich codziennych obowiązków, a sposobem przemieszczania się po mieście był oczywiście rower.

Zabawa okazała się strzałem w dziesiątkę. **Rowerzyści śmigający po mieście w poszukiwaniu konkursowych kuponów „zaliczyli” łącznie ponad 650 wizyt** w miejskich i wojewódzkich bibliotekach na terenie całego miasta. Odwiedziny rowerzystów zbiegły się w czasie z Dniem Bibliotekarza i Tygodniem Bibliotek, przez co częstym akcentem były życzenia składane pracownikom MBP i WBP, a szczególnie miłe wspomnienia wiążą się z cyklistą wręczającym „święteczne” czekoladki. Ostateczne wyniki gry, wręczenie nagród dla najbardziej „pracowitych” uczestników oraz losowanie nagród wśród wszystkich pozostałych rowerzystów odbyło się podczas wycieczki do Sząbruka, która w międzyczasie przekształciła się w prawdziwy piknik zorganizowany z pomocą miejscowej Szkoły Podstawowej. Na miejscu zapewniono uczestnikom wycieczki oraz mieszkańcom wsi liczne atrakcje prowadzone przez bibliotekarzy: konkurs „Filmowa Zajawka” (rozpoznawanie tytułów filmów na podstawie ich zwiastunów), wyszukiwanie w przygotowanym wcześniej tekście jak największej ilości tytułów znanych książek, mini-dyktando, konkurs sprawnościowy na rowerach, czy quiz propagujący bezpieczeństwo rowerzystów na drodze.



2013

W związku z tym, że realizacja działań w 2012 roku przyniosła mnóstwo pozytywnych głosów od uczestników i bibliotekarzy, to oczywistym było, że akcja będzie kontynuowana. Pierwsze miesiące 2013 przyniosły nowych partnerów, a wraz z nimi pojawiły się możliwości rozwinięcia wielu pomysłów. Udało się także dokonać rzeczy wcześniej niespotykanej, a mianowicie zachęcić do wspólnego działania Miejską Bibliotekę Publiczną, Bibliotekę Wojewódzką, Bibliotekę Uniwersytecką UWM oraz Bibliotekę Naukową Ośrodka Badań Naukowych, co pozwoliło przygotować aż 20 punktów kontrolnych na potrzeby gry miejskiej. Dzięki temu udało się objąć zabawą rzeczywistość całe miasto! W trakcie zabawy szybko okazało się, że biblioteki są odwiedzane o wiele częściej niż rok wcześniej i skończyła się pula przygotowanych kuponów. Po podliczeniu wszystkich losów okazało się, że uczestnicy tegorocznej gry zawitali do bibliotek ponad 1000 razy!

Działania prowadzone w ramach „Odjazdowego” zostały dostrzeżone przez Miejski Zespół Profilaktyki i Terapii Uzależnień, który od 10 lat z powodzeniem prowadzi kampanię „JADĘ, NIE TANKUJĘ”. Było jasne, że część celów obu tych inicjatyw można uznać za wspólne. Rowerzyści propagują zdrowy i aktywny styl życia oraz popularyzują rowerowe gry miejskie jako prostą, taną i przystępną formę rekreacji. Bibliotekarzom zależy na pro-

mości czytelnictwa oraz integracji środowiska bibliotekarzy. Działając razem, udało się budować pozytywne więzi pomiędzy na pozór różnymi ludźmi, stworzono przestrzeń dobrej i bezpiecznej zabawy, a do tego dorzucono elementy edukacyjne i wychowawcze. Zgodnie z pierwotnym planem do udziału w akcji udało się zachęcić całe rodziny – na rowery wsiadali rodzice ze swymi dziećmi oraz drużyny szkolne.

Rok 2013 okazał się rekordowy pod względem frekwencji uczestników „Odjazdowego Bibliotekarza” – zajęliśmy I miejsce w Polsce, a na ulice Olsztyna wyjechało ponad 200 rowerzystów.

Mamy nadzieję, że dzięki takim inicjatywom nikogo już nie dziwi, że bibliotekarzy można spotkać wszędzie, niekoniecznie w bibliotece. Dziś jesteśmy bogatsi o nowe doświadczenia, długą listę ciekawych partnerów, mamy dużo satysfakcji z udanych działań, a jako konkretny „urobek” można uznać nowych czytelników i klientów, którzy zachęceni „odjazdowymi” akcjami zdecydowali się zapisać do bibliotek. Teraz już wiemy, że warto działać aktywnie, wychodzić poza utarte schematy i pozytywnie podchodzić do współpracy z różnymi środowiskami. Z takim nastawieniem czekamy niecierpliwie na.. rowerowy sezon 2014 ☺.

Autorka jest bibliotekarką, koordynatorką akcji „Odjazdowy bibliotekarz” w Olsztynie oraz pracowniczką Planety 11 – filii MBP w Olsztynie.

ten Obcy...

LYCK – LENZ – EŁK

IWONA DRAŻBA

Odkrywanie historii miejsc, w których żyjemy, prowadzi do spotkań z ludźmi, którzy kiedyś byli mieszkańcami naszych miejscowości. Jeszcze dziś wielu osobom trudno pogodzić się z historią mazurskich miejscowości. Wśród „obcych” i byłych mieszkańców jest SIEGFRIED LENZ, niemiecki pisarz, który urodził się w Ełku w 1926 r.

Lenz to pierwszy w powojennej historii miasta Honorowy Obywatelem Ełku, tytuł ten otrzymał w 2011 r. Kolejnym krokiem do oswojenia pisarza i jego twórczości była organizacja konferencji naukowej. W dniach 11-12 października 2013 r. odbyła się I Międzynarodowa Konferencja Naukowa „Wielokulturowy świat Siegfrieda Lenza”, zaś organizatorami jej byli Urząd Miasta Ełku, Miejska Biblioteka Publiczna im. Zofii Nasierowskiej w Ełku, Katedra Badań Filologicznych „Wschód-Zachód” Uniwersytetu w Białymstoku oraz Muzeum Historyczne w Ełku. Wśród prelegentów między innymi gościliśmy wybitnych znawców literatury niemieckiej: prof. Huberta Orłowskiego, prof. Jerzego Kałużnego, Wilfrieda Lipschera, prof. Andreeasa F. Kelletata, prof. Zbigniewa Chojnowskiego, prof. Mirosława Ossowskiego, prof. Ewelinę Kamińską, Tadeusza Willana, dr. Andrzeja Pilipowicza, dr. Michaela Sobczaka. W rodzinnym mieście pisarza dokonało się wieloaspektowe omówienie twórczości Siegfrieda Lenza oraz wpływu twórczości na tożsamość etczan. Cytując wypowiedź prof. Jarosława Ławskiego, „Ten pisarz jest twórcą lokalnej tożsamości. Lenz jako pierwszy po wojnie powiedział w Niemczech, że wszyscy ci, którzy mieszkają na Mazurach, których wychowuje mazurski krajobraz, są Mazurami”. Właśnie pytaniem o mazurską tożsamość

zainicjowaliśmy konferencję w wieczór poprzedzający właściwy program sympozjum, spotykając się z naszymi gośćmi kameralnie w kawiarni, by podyskutować o tym, kim jesteśmy. Czy „Hej, Mazury, jak wy cudne...” są hymnem mieszkańców dzisiejszych i czujących się tubylcami? Czy można nazywać się Mazurem dziś, czy też Mazurów już nie ma? Dyskusja była niezwykle interesująca i z pewnością zainspirowała do zadawania sobie wielu pytań o bytność na tej ziemi.

Oficjalne otwarcie konferencji zainaugurował Prezydent Miasta Ełku, Tomasz Andrukiewicz (na marginesie dodam – również miłośnik literatury Siegfrieda Lenza). Po obradach dnia pierwszego odbyło się spotkanie autorskie prof. Andreeasa Kelletata w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Zofii Nasierowskiej w Ełku.

Na miejsce obrad drugiego dnia wybraliśmy historyczny budynek Urzędu Miasta w Ełku i tu też odbyła się promocja wznowienia opowiadań Siegfrieda Lenza *Śłodkie Sulejki*.

Pokłosiem pokonferencyjnym będzie wydana publikacja w naukowej serii Colloquia Orientalia Białostocensia w 2014 r. „Ten obcy” staje się dzięki takim przedsięwzięciom „Swój”.



Fot. archiwum MBP w Ełku.

DUŃCZYK

na Warmii



ANITA ROMULEWICZ

Nie tak znowu dawno temu w bibliotekach królowały książki w otoczeniu czasopism, gazet i katalogów, zacnych w swojej roli, jednak wyraźnie pomniejszego statusu. To książka była oczkiem w głowie bibliotekarza, a dbałość, by żyła jak najdłużej w zdrowiu i szczęściu, stanowiła istotę jego pracy. Czytelnik odwiedzający bibliotekę, wertując, czytając, wypożyczając – sprawiał, że istniała. Jednak koniec zawsze był podobny – ciemne kąty księżnic, głębokie, ciemne piwnice i cisza. To w najlepszym przypadku.

Czasy się zmieniły i biblioteki też. Jak by nie patrzeć – najważniejszy jest czytelnik, jego potrzeby, gusta, wygoda. To jemu dziś służy książka, przybierając różnorodne oblicza, od papierowej po elektroniczną. Żyje jako i-book lub audiobook, w necie, na tablecie i smarfonie. I dobrze.

A co z owymi bardzo starymi zbiorami w niedostępnych szafach? Otóż paradoksalnie, dzięki postępowi mają szansę na nowe życie. Właściwie zabezpieczone przez cudowne ręce konserwatora, poddane digitalizacji, trafiają ponownie do czytelników. Czasem, może z wdzięczności za drugą szansę, mają dla nas niespodziankę.

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie już dawno włączyła się w nurt współczesnych przemian. Sama też stara się wyznaczać nowe ścieżki. Od kilku lat funkcjonuje w jej murach pracownia konserwatorska, której zadaniem jest sukcesywnie zabezpieczanie starych druków znajdujących się w zasobach biblioteki. Praca to i żmudna i kosztowna. Ale konieczna. A jak satysfakcjonująca, o tym przekonaliśmy się niedawno. Pierwszym starym drukiem poddanym konserwacji całkowitej był zabytek piśmiennictwa z 1612 roku – *Constitutiones Synodales Dioecesis Varmiensis*, czyli *Statuty Synodalne Diecezji Warmińskiej*. Rzecz to szczególnie, bo pierwsze wydanie i jedno z nielicznych zachowanych do dziś (to samo wydanie znajduje się w Staatsbibliothek w Berlinie).

Dla badacza starych druków taka praca to sama przyjemność. Tropienie znaków zostawionych na książce, odkrywanie tajemnic pieczęci i znaków wodnych ukrytych w papierze, czy rozwiązywanie zagadek, jakie wiążą się z autorem czy drukarnią, to jak wyprawa wehikułem czasu. I tym razem podróż ze starym drukiem przeniosła nas w miejsca dotąd nieznanne. Podczas konserwacji księgi, w trakcie „rozbierania” jej na elementy pierwsze, do najdrobniejszej nitki z grzbietu – z okładek okładki wydobyto „makulaturę”. Jak się okazało, całkiem niezwykłą.

To po duńsku czy norwesku?

Niespodzianką ukrytą w okładzinie *Synodów* okazały się karty z dokumentu napisanego w języku duńskim. Każdy, kto kiedykolwiek zastanawiał się nad historią języków skandynawskich, wie, że ich dzieje są mocno ze sobą splecione. Zarówno Dania, jak i Norwegia oraz Islandia, do dziś w słownikach mają wiele wspólnych określeń. Jednoznaczne określenie pochodzenia odkrytych kart było tym trudniejsze, że minęło już kilkaset lat, a języki krajów

północy przeszły kolejne etapy ewolucji. Mimo wątpliwości duński rodowód odkrycia podkreślił jeszcze jeden trop.

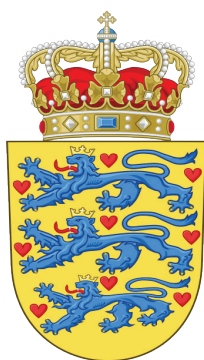
Trop prowadzi do Braniewa

Zachowane fragmenty druku, dziś dla nas tak interesujące i cenne, w swoim czasie użyte zostały jako zwykłe wzmocnienie oprawy *Synodów*, książki z początku XVII wieku, wydanej w Braniewie. Zaledwie dwadzieścia lat wcześniej na potrzeby diecezji warmińskiej i świeżo powstałych na terenie Braniewa instytucji naukowo-wychowawczych, jak kolegium jezuickie, seminarium duchowne i alumnat papieski, założono oficynę drukarską. Jej pierwszym właścicielem był niejaki J. Saxo (J. Sachse), zmarły w 1593 roku. Spadkobiercy jednak bardzo szybko pozbyli się drukarni, którą nabył Jerzy Schönfels. Był to drukarz aktywny, nawet zamieszany w liczne procesy z księgarzami braniewskimi i gdańskimi.

Co ważniejsze, cieszył się licznymi przywilejami królewskimi i biskupimi, m.in. na skup odpadów do wyrobu papieru oraz prawo do opracowania książek przez siebie drukowanych. Tłoczył głównie po łacinie druki urzędowe biskupstwa i inne katechizmy, kazania oraz polemiki teologiczne jezuitów. W tejsze właśnie oficynie powstały *Synody*. Ale to jeszcze nie mówi nam o miejscu powstania odnalezionych kart duńskich.

Jezuici zza granicy

Tymczasem w Seminarium Papieskim w Braniewie studiowali Skandynawowie. Był to okres ścierania się głosicieli reformacji i kontrreformacji. Ówczesna Warmia wraz z silną osobowością, jaką był Stanisław Hozjusz, stała na straży Kościoła katolickiego. Dla zwolenników dawnego systemu kościelnego w krajach europejskich objętych nauką Lutera była ona nie tylko bezpiecznym azylem, ale też



ośrodkiem, z którego wyruszali na dalszą krucjatę. Dotyczyło to również duńskich jezuitów studiujących w Braniewie.

Wychowankami braniewskiej uczelni byli m.in. Duńczycy – Jan Kidius oraz Gorgoniusz Ageison. Z miastem tym związany był też pewien Norweg – Laurentius Nicolai Norvegus (Norvegicus), czyli Laurits Nielsen, który – choć krótko pracował w zakonie jezuitów – często wracał do Braniewa, podróżując po Europie. Dlaczego o nim mowa? Ponieważ jest on autorem ważnej z perspektywy naszych poszukiwań publikacji, mianowicie *Confessio Christiana*.

Wyznanie wiary x 2

Dzieło swoje Laurits Nielsen napisał w 1602 roku, będąc w Heidelbergu. Wydano je po łacinie niebawem, bo już w 1604 roku w Krakowie (*Confessio Christiana de via Domini, quam Christianus populus in tribus regnis [...]*). Egzemplarz ten posiada w Polsce Biblioteka Jagiellońska. *Confessio Christiana* wydano też rok później, jednak po duńsku, nakładem wydawnictwa braniewskiego (*Confessio Christiana. Det er Den Christelige Bekiendelse om Herrens veig [...]*). Skąd o tym wiemy? Oba cenne wydania posiada w swoich zbiorach Biblioteka Królewska w Kopenhadze.

Laurits Nielsen walczył o duńsko-norweskie nawrócenie do katolicyzmu. Wysłał nawet swoją pracę do króla duńskiego z ofertą pomocy w zażegnywaniu religijnych sporów i doprowadzenia do jedności religii. Choć ruch reformacji w Europie Zachodniej w XVII wieku był mocno rozpowszechniony, Norweg nie ustawał w wysiłkach. Podstawy wiary katolickiej oraz wszystkie postulaty i argumenty zawarł

na ponad trzystu stronach. Część z nich trafiła do olsztyńskiego egzemplarza *Synodów*.

Układanka

Stare i miejscami dość mocno zniszczone kartki odkryte w okładzinie przedniej i tylnej *Synodów* (po sześć na każdą) nie od razu zdradziły swoje źródło. Na ich spójność początkowo wskazywały jedynie: rodzaj użytego papieru (raczej gorszej jakości), frakturowa czcionka (o ostro łamanym kształcie i z typowym „wąsem”) i drzeworytnicze, dość skromne inicjały w akapitach. Porządkowanie kart według stron „nieogryzionych” przez czas było niczym układanie puzzli. Niezbędna okazała się wiedza na temat oznaczeń dawnych arkuszy wydawniczych. Jednak tym, co spajało całość, był nagłówek „Bekiendelsens”, czyli „Spowiedź”.



Jak czas pokazał, zachowane karty, a przynajmniej większość z nich, pochodzi z części pierwszej (første) pracy Nielsena. Ich treści odwołują się do zagadnień nauki Kościoła. Autor poruszył w nich kwestie głoszenia Słowa Bożego, świadków wiary, Apostołów i wypełniających naukę Kościoła. Znalazły się tam też *Wyznanie wiary* oraz komentarze do Pisma Świętego. W kompozycji dominuje natomiast forma pytań i krótkich odpowiedzi, np. „Czym jest wiara?”, „Dlaczego wierzymy w Boga?”.

I tak oto, po upływie ponad 400 lat, ponownie świat ujrział „Duńczyk” z Braniewa. Odkryte fragmenty niebawem pewnie trafią do obiegu cyfrowego. A jako że były tylko makulaturą, nie straszy już nikogo „Summa privilegii” samego Schönfelsa, czyli Najwyższy Przywilej Królewski, w którym zabrania on przedruku pod groźbą konfiskaty książek.

KONSERWACJA I RESTAURACJA STARODRUKU

Constitutiones Synodales Dioecesis Varmiensis

Apud Georgium Schönfels, Brunsbergae 1612

Zbiory Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Olsztynie

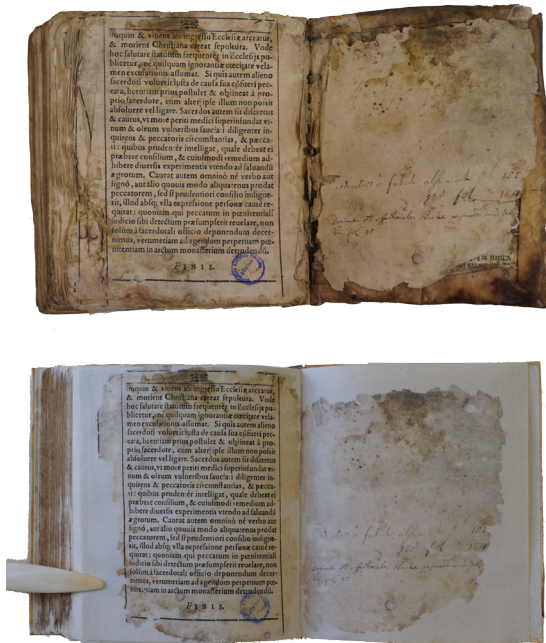
KATARZYNA KRESYMON



Pracownia Konserwacji Zbiorów Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Olsztynie funkcjonuje od września 2012 roku. W jej murach prowadzone są prace konserwatorsko-restauratorskie na najcenniejszych oraz najbardziej zniszczonych obiektach będących w zasobach Biblioteki. Celem prac jest poprawienie właściwości fizycznych i estetycznych obiektów, zachowując przy tym ich wartości użytkowe, przy ograniczonej interwencji konserwatorskiej w elementy dobrze zachowane, oraz prawidłowe przygotowanie do przechowywania i ekspozycji.

Od listopada 2012 do października 2013 roku prowadzono prace konserwatorsko-restauratorskie nad starodrukiem *Constitutiones Synodales Dioecesis Warmiënsis – Statuty Synodalne Diecezji Warmiënskiej*, wydanie pierwsze, z oficyny Georgium Schönfels, Braniewo 1612r. Omawiany starodruk jest kodeksem drukowanym na papierze czerpanym, oprawiony w pergamin w kolorze naturalnym. Rdzenie okładek tworzy kilka kart z papieru czerpanego zadrukowanych czarną farbą drukarską, sklejonych ze sobą. Dekorację oprawy wykonano w technice tłoczenia złotem. Okładzinę przednią zdobi owalny wytłok o treści chryzologicznej: Jezus „IHS”. Okładzinę tylną zdobi owalny wytłok plakieta o motywie roślinno-geometrycznym. Narożniki mniejszej ramki wzbogacono wyciskiem pojedynczych tłoków o motywie roślinnym. Blok kodeksu liczy 190 kart ręcznie czerpanych, ułożonych w 48 składek. Podczas prowadzenia prac dokumentacyjnych analiza papieru wykazała użycie papierów na których występują cztery rodzaje filigranów: filigran o charakterze heraldycznym magnatów i szlachty, przypisywany papierni Wąsosz koło Złotowa, działalność ok 1585 r., ród Potulnickich herbu Grzymała – karta ochronna okładziny przedniej, filigran o charakterze heraldycznym przypisywany papierni gdańskiej Herbu Gdańska, wpisany w koło z podwójnym krzyżem, bez korony, w kartuszu podzielonym na dwa pola, filigran Herbu Gdańska wpisany w koło z podwójnym krzyżem bez korony, w kartuszu, w połączeniu z rybą, z inicjałami papiernika w pisanym otoku, filigran o charakterze konwencjonalnym przypisywany czerpalni Probstlych (Brobstlych) z flądrami wpisanymi w koło, z nazwiskiem i imieniem właściciela papierni Henryka Probstlego. Blok zszyty nićmi na trzy zwięzy pergaminowe sposobem dwa za jeden. Tekst ujęty w jedną kolumnę, drukowany czarną farbą drukarską, przy użyciu kilku stylów czcionek drukarskich. Frontysepis i występujące w bloku ozdobne inicjały, bordiury, winiетки oraz finaliکی wykonano w technice drzeworytu.

Starodruk ze względu na zły stan zachowania wymagał przeprowadzenia pełnych prac konserwatorskich. Pergamin pokryty był brudem wtartym w głąb struktury, lico poprzecierane na całej powierzchni. Oprawa bardzo zniszczona i zdeformowana. Zamoczenie oraz nieodpowiednie przechowywanie obiektu doprowadziło do silnego rozwoju drobnoustrojów. W wyniku tych działań oprawa uległa znacznemu zeszytwnieniu oraz pociemnieniu. Na powierzchni pergaminowej oprawy obecne są charakterystyczne przebarwienia pochodzenia mikrobiologicznego koloru brązowego i fioletowo – różowego. Tekturowe okładziny rozwarstwione z rozległymi ubytkami skoncentrowanymi głównie na krawędziach. Blok starodruku zachował się w całości, liczy 190 kart. W wyniku zamknięcia oraz nieodpowiednich warunków przechowywania infekcja mikrobiologiczna rozprzestrzeniła się w głąb papierowego bloku, doprowadzając do znacznego obniżenia właściwości wytrzymałościowych i estetycznych dolnej części kart papierowych. Rozległe ugrowo-brązowe zacieki pokrywały ok. 60% powierzchni kart. Na kilkunastu ostatnich składekach ślady zalania obejmowały 100% powierzchni kart. Uszkodzenie konstrukcji broszurowania od strony okładziny tylnej spowodowało wysunięcie się z bloku kilku składek. Karty posiadają uszkodzenia mechaniczne, uszkodzone narożniki, ubytki krawędzi, zagniecenia. W wyniku nie zachowania się elementów zamykających druk, oprawa oraz blok uległy deformacji. Zamoczenie oraz nieodpowiednie warunki przechowywania były powodem niekontrolowanego procesu wysychania pergaminu, na skutek czego uległ on skurczeniu. Szczególnie widoczne jest to od strony krawędzi, gdzie pierwotnie mieściły się sznurki zamykające druk. W miejscu tym karty w bloku wyraźnie wystają poza oprawę. Prace konserwatorskie rozpoczęto od założenia dokumentacji fotograficznej i opisowej. Starodruk wstępnie oczyszczono, używając odkurzacza wyposażonego w filtr HEPA oraz płynną regulację mocy, a następnie przystąpiono do demontażu. Papierowe karty oczysz-



czono miękką gąbką lateksową. Wszystkie karty poddano ciepłej kąpieli statycznej przez około 24 godziny, wymieniając wodę co około godzinę. Silniejsze zabrudzenia skoncentrowane na zewnętrznych krawędziach oczyszczano tamponami z waty zwilżonymi żelą z tylozy. Kąpiel w znacznym stopniu zniwelowała zażółcenie oraz wyraźnie rozjaśniła ugrowe zacieki. Rozległe ubytki uzupełniono w maszynie do uzupełniania papieru odpowiednio dobraną masą papierową bawełnianą. Niewielkie ubytki i przedarcia kart uzupełniano bibułką japońską. Karty nawilżano około 5 min., następnie ułożone między włókninami i tekturami wkładano do prasy na 24 godziny. Po wyjęciu ułożono w składki, zachowując ich budowę i sezonowano pod obciążeniem. Blok ponownie zszyto, wykonując rekonstrukcję broszurowania sposobem dwa za jeden z wykorzystaniem oryginalnej nici oraz nowej lnianej. Konserwację oprawy rozpoczęto od wymontowania papierowych kart sklejonych ze sobą i stanowiących rdzeń okładek. Karty okładziny przedniej delikatnie podważano szpatułką i rozdzielano na po-

szczególne arkusze, a następnie oczyszczono mechanicznie miękką gąbką lateksową. Po zakończeniu prac ułożono między włókninami i poddano ciepłej kąpieli wodnej. Zły stan zachowania kart okładziny tylnej nie pozwalał na swobodne rozdzielanie poszczególnych arkuszy. Każda nawet niewielka ingerencja mogła powodować kruszenie się papieru. Dlatego też okładzinę ułożono między włókninami, od góry na włókninę nałożono warstwę żelu z tylozy, kontrolując czas wchłaniania się żelu, tak by nie doprowadzić do przemoczenia karty. Trzymając włókninę i używając szpatułki ostrożnie rozdzielano arkusz od pozostałych. Po rozwarstwieniu wszystkich oczyszczono tamponikami nasączonymi żelą z tylozy, a następnie poddano ciepłej kąpieli wodnej statycznej przez około 24 godziny, wymieniając wodę co godzinę. Ubytki uzupełniono papierem japońskim, dodatkowo wzmocniono wszystkie karty okładek, dublując je na cienką bibułkę japońską, a następnie ułożone między włókninami i tekturami wkładano do prasy na 24 godziny. Awers i rewers pergaminu oraz kapitałki oczyszczono mechanicznie gumką elektryczną z miękkimi i twardymi wkładkami, a następnie wielokrotnie emulsją uelastyczniającą z jednoczesnym prostowaniem miejsc oczyszczonych. Nie udało się zniwelować całkowicie wszystkich deformacji, ale osiągnięty efekt uznano za zadowalający. W celu ochrony bloku, który w wyniku skurczu pergaminu wystawał poza oprawę, zdecydowano się przedłużyć zewnętrzne krawędzie oprawy poprzez doklejenie nowego pergaminu odpowiednio przygotowanego. Po kilkutygodniowym okresie stabilizacji pergaminowej oprawy i papierowych okładek przystąpiono do montażu starodruku. W celu ochrony obiektu przed deformacją wykonano rekonstrukcję sznurków spełniających funkcję zamknięcia. Do przechowywania starodruku po konserwacji przygotowano pudło ochronne.

Dokumentacja fotograficzna: Katarzyna Kresymon, Pracownia Konserwacji Zabytków, Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie.



KATARZYNA BIKOWSKA

PODRÓŻE po KULTURZE

pięć lat *Biblioteki Kulturalnej*



Współczesne biblioteki dalekie są od ich tradycyjnego wzorca, opartego na podstawowych zasadach: gromadzenie, opracowanie, udostępnianie zbiorów. Ekspansywna rola kulturotwórcza dawnych księżnic jest widoczna i odczuwalna poprzez różne formy: wystawy, projekcje filmowe czy koncerty. Choć biblioteki publiczne znacznie szybciej dostosowały się do wymogów i gustów swych użytkowników, biblioteki akademickie również starają się uzupełniać główną funkcję informacyjną treściami związanymi z kulturą. Właśnie temu służy projekt o nazwie Biblioteka Kulturalna, organizowany w Bibliotece Uniwersyteckiej Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie.

Biblioteka Kulturalna (dalej: BK), której pomysłodawcą był Maciej Rynarzewski, w pierwotnym założeniu miała promować multimedialne zbiory, jakie znajdują się w Oddziale Zbiorów Specjalnych Biblioteki Uniwersyteckiej. Pierwszy sezon BK odbył się w trakcie semestru zimowego 2008/2009 r. W gmachu biblioteki zorganizowane zostały pokazy filmowe. Obejrzeć można było filmy z klasyki światowego kina – począwszy od *Casablanki* Michaela Curtiza, poprzez *La Stradę* Federico Felliniego, aż po *Ptaki* Alfreda Hitchcocka. W kolejnym semestrze motywem przewodnim były spektakle Teatru Telewizji i Polska Szkoła Dokumentu. Jako że promocja zbiorów multimedialnych Biblio-

teki, które nie mogą być wypożyczone na zewnątrz budynku, godziła w dalszą sensowność projektu, już od następnej edycji głównym celem całego przedsięwzięcia była promocja samej Biblioteki Uniwersyteckiej i traktowania jej jako tzw. „trzecie miejsce”, gdzie studenci i pracownicy Uniwersytetu mogą spędzić czas, zaraz po domu, szkole czy pracy¹.

Do dziś bez zmiany pozostała formuła „edukacyjnych spotkań filmowych” (tak brzmiał podtytuł Biblioteki Kulturalnej w pierwszych dwóch sezonach). Każda projekcja poprzedzona jest krótkim (5-15 min.) wstępem, który stanowi najczęściej zbiór ciekawostek i mniej znanych faktów dotyczących reżysera, aktorów czy realizacji konkretnego filmu. Prelekcji

dokonują zarówno naukowcy, znawcy tematu, jak i fani danego dzieła czy reżysera. Po emisji następuje zwykle krótka wymiana opinii i świeżych wrażeń.

Autorskie dodatki

Trzeci sezon Biblioteki Kulturalnej przyniósł formalne odstępstwo. W ramach cyklu spotkań filmowych miała miejsce również promocja książki Dominika Krysiaka *Rezonans. Pismo Regionu Warmińsko-Mazurskiego. Solidarność Olsztyn (1982-1989)*. „Rezonans” to najdłużej okazyjące się na Warmii i Mazurach pismo podziemne. Publikacja była uzupełnieniem wystawy „Prasa i wydawnictwa niezależne na Warmii i Mazurach w latach 1980–1989”, przygotowanej przez Delegaturę Instytutu Pamięci Narodowej w Olsztynie i Bibliotekę Uniwersytecką w Olsztynie, które również były organizatorami spotkania autorskiego.

Kolejny cykl BK rozpoczął się drugim spotkaniem autorskim z Marcinem Wakarem, autorem książki *Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne „Pojezierze” w latach 1956–1989* wydanej w Pracowni Wydawniczej ElSet, która była współorganizatorem spotkania. Szczegółowymi i licznie przybyłymi gośćmi przybyłymi na wydarzenie byli i obecni członkowie opisanego stowarzyszenia. Inauguracja czwartego sezonu Biblioteki Kulturalnej połączona była również z prezentacją programu dwóch równoległych cykli BK: „Film” i „(pop)Kultura”, logo, strony internetowej BK (działającej w 2012 roku) oraz profilu BK na portalu społecznościowym Facebook. Patronat medialny nad obydwoma spotkaniami objęło Polskie Radio Olsztyn.

Kulturalna współpraca

Pierwsze dwa cykle powstały przy wsparciu, zwłaszcza merytorycznym, Pracowni Kultury i Edukacji Teatralnej znajdującej się przy Instytucie Filologii Polskiej Wydziału Humanistycznego UWM. Ciekawych wprowadzeń

przed emisją sztuk Teatru Telewizji dokonała, związana z pracownią, dr Kamila Bialik. Związana z kierunkiem Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna doktorantka Paulina Wakar opowiedziała np. o twórczych upodobaniach Alfreda Hitchcocka. To właśnie środowisko związane z studiami doktoranckimi Wydziału Humanistycznego stanowiło ważne wsparcie w organizacji Biblioteki Kulturalnej w różnych jej formach (prelekcji, spotkań autorskich czy późniejszych wykładów). Wspomnieć należy reprezentantów Filologii Polskiej, tj. dr Lidie Gąsecką, Darię Bruszewską czy Piotra Przytułę. Wsparciem w cyklu wykładów odnoszących się do muzyki stanowił student filozofii Janusz Madejski, pasjonat muzyki metalowej i jej wszelkich form. Fundamentem merytorycznym i organizacyjnym całego przedsięwzięcia byli pracownicy Biblioteki Uniwersyteckiej, m.in. Katarzyna Bikowska (współorganizatorka Biblioteki Kulturalnej od jej trzeciego sezonu do teraz) i Maciej Rynarzewski (pomysłodawca i organizator pierwszych sześciu sezonów), przy wsparciu Elżbiety Stawskiej (pomoc w piątym sezonie).

POPwykłady – bliźniaczy cykl



To właśnie dzięki sugestii pochodzącej ze środowiska doktoranckiego Wydziału Humanistycznego, a przede wszystkim dr Lidii Gąseckiej, powstał pomysł utworzenia cyklu wykładów związanych z wszelkimi aspektami kultury popularnej: modą, komiksem, subkulturą, muzyką, telewizją, reklamą itp. Tematyka popkultury miała mieć znamie uniwersalnej, gdyż w założeniu organizatorów wspomina-nej jej elementy dotyczą każdego studenta lub pracownika, uczestnika czy świadka współczesnej kultury, niezależnie od kierunku czy stopnia wykształcenia. Tak oto czwarty sezon BK rozrósł się i zyskał bliźniaczy cykl wykładów. Tematami przewodnimi (pop)Kulturalnych referatów okraszonych prezentacjami multimedialnymi (przykłady filmowe, dokumentalne czy muzyczne) były subkultury, muzyka, serial- le TV oraz kobieta. Należy podkreślić, że każdy

z wykładów musiał odnosić się ściśle do jego istnienia w kulturze popularnej.

Inicjującym tematem cyklu wykładów były subkultury. Głoszący je mieli za zadanie przybliżyć nieznaną szerszemu gronu mikrospołeczność. Okazało się to bardzo łatwym zadaniem, ponieważ charakter danej subkultury objaśniali ich miłośnicy. Dzięki wykładom na temat gothloli (miłośników gotyckiej stylizacji), otaku (fanów japońskiego komiksu, gier i animacji) czy steampunku (odmianie fantastyki naukowej) grono słuchaczy BK wzbogaciło się o olsztyńskich miłośników fantastyki, będących niejednokrotnie częścią YUMEGARI Klubu Miłośników Kultury Japońskiej (wcześniej istniejącego pod nazwą Klubu Miłośników Mangi i Anime), działającego pod auspicjami Akademickiego Centrum Kultury UWM w Olsztynie.

Przełomem, jeśli chodzi o popularność Biblioteki Kulturalnej (przekładającą się zarówno na frekwencję jak i ilość „polubień” profilu BK) na Facebooku, okazał się cykl poświęcony muzyce, a zwłaszcza wykład znanego olsztyńskiego dziennikarza muzycznego, Grzegorza Kasjaniuka. Wypowiedź dotycząca dekadencji w muzyce rozrywkowej spotkała się z żywym zainteresowaniem uczestników, którzy przy dźwiękach grunge’owego koncertu *unplugged* („bez prądu”) wysłuchali ponad dwugodzinnej opowieści znawcy tematu. Na pozostałych wykładach z tego cyklu prelegenci opowiadali m.in. o polskim soundtracku, rytuałach scenicznych muzyki metalowej oraz kontrastowym popie.

Od wspomnianego piątego muzycznego sezonu Biblioteki Kulturalnej (pop)kulturalne wykłady wspomagają doktoranci Wydziału Humanistycznego, małżeństwo Przytuła, współorganizatorzy Dyskusyjnego Klubu Serialowego Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego. Doświadczenie w tematyce prowadzenia rozmów o serialach wpłynęło na to, iż ten temat stał się motywem przewodnim następnego sezonu BK.

Tym sposobem wśród słuchaczy wykładów pojawili się fani alegorycznej *Gry o tron*, dedukcyjnego *Sherlocka*, nerdowskiej *Teorii Wielkiego Podrywu* czy animowanego *South Parku*.

Tematyczność



Zarówno filmy jak i wykłady dobierano na kolejne repertuary w myśl jakiegoś wspólnego klucza. Jak wspomniano, w sezonach filmowych zaczęto od klasyków kina, następnie przedstawiono dorobek polskich reżyserów w ramach realizacji Teatru Telewizji. Podjęto również próbę przybliżenia dorobku polskiej kinematografii z gatunku fantastyki naukowej. Odkryto takie dzieła jak: *Milcząca Gwiazda* Kurta Maetzinga czy *Ga-Ga Chwała Bohaterom* Piotra Szulkina. Zaprezentowano również amerykańskie superprodukcje złotego wieku kina, jak *Czarnoksiężnik z Oz* czy *Śniadanie u Tiffaniego*, a także wybrane próbki kina autorskiego, m.in. oniryczne *Mulholland Drive* Davida Lyncha, statyczną wymowność Jima Jarmuscha w *Nocy na Ziemi* czy połączenie absurdałnego humoru z estetyką filmów *noir* w *Fargo* braci Cohen.

Kolejny sezon zamiast na stylu twórców, skupił się na formie filmowego rzemiosła. Zaprezentowano uznane dzieła animowanego filmu fabularnego. Przedstawiono takie dzieła jak: związane z dorobkiem japońskiej popkultury animacyjnej, czyli *Grobowiec Świetlików* Isao Takahata i *Akira* Kotsumo Otomo, oraz dotyczące współczesnych konfliktów zbrojnych jak wojna irańsko-iracka w *Persepolis* Vincenza Paronnauda czy wojna libańska w *Walcu z Baszirem* Ari Folmana. Wybrane animacje nie tylko cechowała popularność w latach poprodukcyjnych, ale też niosły ogromny walor poznawczo-emocjonalny. Potwierdza taki wniosek jeden z komentarzy „stałych bywalców” seansów BK: „myślałam, że bajki są tylko dla dzieci” lub inny: „teraz pozwolę dzieciom oglądać japońskie bajki”.

Promocja

Podstawową sposobem dotarcia do odbiorców docelowych BK (którymi są głównie studenci i pracownicy uniwersytetu, ale nie jedynie) są plakaty informacyjne. Dopóki cykl miał charakter jednolity, składający się głównie z filmów, informacje o kolejnych spotkaniach umieszczane były na jednym plakacie. Od piątego sezonu BK firmuje się dwoma bliźniaczo podobnymi wizualnie plakatami. Autorem pierwszych projektów graficznych był Łukasz Fafiński – doświadczony grafik, autor licznych plakatów i okładek książek związanych z Uniwersytetem Warmińsko-Mazurskim.

Identyfikacja wizualna, jaką znamy obecnie, została stworzona przez Macieja Rynarzewskiego i jest on autorem zarówno logo (charakterystyczny wielobarwny napis „biblioteka kulturalna”, zamieszczony w nawiasie klamrowym) jak i plakatów, które od czterech sezonów posiadają rozpoznawalną szatę graficzną.

Promując dany sezon na terenie całego Kortowa (zwłaszcza przy węzłach komunikacyjnych typu poczta czy akademik), organizatorzy rozklejają plakaty i rozdają ulotki. Oczywiście najwięcej plakatów umieszczono na terenie samej Biblioteki Uniwersyteckiej. W konsekwencji rosnącej popularności portali społecznościowych organizatorzy wykorzystują również profil BK na Facebooku, gdzie obecnie² posiada 260 „znajomych”. Dodatkowo przed każdym spotkaniem za pomocą poczty pracowniczej wysyłane są maile oraz posty na Facebooku, zawierające informację o zbliżającym się wydarzeniu z jego krótkim opisem. Dzięki współpracy z lokalnymi mediami informacje o BK znalazły się w „Gazecie Olsztyńskiej”, „Wiadomościach Uniwersyteckich”³. O BK usłyszano w Radiu Olsztyn, zaś Radio UWM FM przed każdym kolejnym sezonem nagrywa rozmowę z organizatorami BK, którą powtarza wielokrotnie, informując ogólnie o aktualnej tematyce cyklu. Pomocne okazały się również lokalne media elektroniczne, takie

jak strona www Planeta FM czy mutacje „Gazety Olsztyńskiej”, np. „Kultura wm.pl”⁴.

Licencyjny parasol

Dla zwiększenia bezpieczeństwa projekcji Biblioteka Uniwersytecka korzysta z Parasola Licencyjnego®MPLC. Dzięki aktualizowanej liście studiów filmowych reprezentowanych przez MPLC organizatorzy BK mają szeroki wybór przy doborze konkretnych tytułów.

O tym, że biblioteka powinna być pośrednikiem w relacji człowiek-kultura, obecnie już się nie dyskutuje, lecz przyjmuje jako fakt. Zmieniająca się rolę dawnych księżnic najszybciej zaadaptowały biblioteki szkolne i publiczne, docierające do młodych zwłaszcza poprzez filmowe adaptacje lektur⁵. Biblioteka Uniwersytecka Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie poprzez organizację cyklu Biblioteki Kulturalnej, dzięki sprzyjającym warunkom (lokalizacja w centrum kampusu, sale wyposażone w odpowiedni sprzęt audio-wideo, oraz duża liczba pasjonatów kina i popkultury, którzy spędzają całe godziny w budynku Biblioteki) zabiera swych sympatyków w podróż po różnych obszarach kultury.

¹ R. Oldenburg, *The great good place : cafés, coffee shops, community centers, beauty parlors, general stores, bars, hangouts and how they get you through the day*, New York 1989.

² Tj. 19.11.2013.

³ E. Stawska: *Nie samą książką...*, „Wiadomości Uniwersyteckie” 2012, nr 11, s. 11.

⁴ Sz. Skwarczyński, *Film i muzyka pośród książek, czyli kolejna odsłona Biblioteki Kulturalnej*, „Gazeta Olsztyńska”, wyd. online z 24.10.2012: <http://kultura.wm.pl/128072,-Film-i-muzyka-posrod-ksiazek-czyli-kolejna-odslona-Biblioteki-Kulturalnej.html> [dostępny: 21.11.2013].

⁵ *Zapraszamy na film – jak to robią w bibliotekach?*, „Poradnik Bibliotekarza” 2012, nr 12, s. 10-12.



Trafiłam *do* PIĄTKI

o udziale w projekcie
„Przez wolontariat
do zatrudnienia”

PAULINA GUDOWICZ



Fot. archiwum WBP w Olsztynie.

Los zdecydował, że na początku 2013 r. wróciłam z Torunia, niezwykle urokliwego miasta moich studiów, na równie uroczą Warmię, gdzie spędziłam dzieciństwo i lata nastoletnie. Bardzo szybko chciałam znaleźć coś, cokolwiek (niekoniecznie „pracę na etacie”), co zajęłoby moje myśli i wypełniłoby mój czas. Za sprawą koleżanki dowiedziałam się, że Fundacja „Borussia” rekrutuje osoby do projektu „Przez wolontariat do zatrudnienia”. Dlaczego miałam się nie zgłosić? Spełniałam wszystkie warunki gwarantujące współpracę, byłam pełna zapału do pracy, miałam pomysły i chciałam je realizować. Pozytywnie przeszłam rozmowę rekrutacyjną w siedzibie fundacji. Ufff, co to była za radość! :)

Został mi tylko, a w zasadzie aż, wybór instytucji goszczącej. To właśnie w tym miejscu miałam przecież spędzić najbliższe dziewięć miesięcy. Po przejrzeniu dostępnych stanowisk, najbardziej przypadła mi do gustu oferta Oddziału Literatury Dziecięcej i Młodzieżowej Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Olsztynie. Zakładała pracę z dziećmi, przygotowywanie scenariuszy zajęć, pozwalała na dużą swobodę i kreatywność w działaniu. Takim oto sposobem trafiłam do Piątki, Biblioteki Dzieci i Młodzieży. Nie żałuję! :)

Od samego początku współpraca układała nam się bardzo dobrze. Kierownik biblioteki, a zarazem koordynator moich działań, pani Maria Jończyk-Zegler, stopniowo wprowadzała mnie w świat literatury dziecięcej, tłumaczyła funkcjonowanie, jakże nieznanymi mi wówczas, programów Mak i Mak+ służących do obsługi czytelników oraz zapoznawała z pracownikami oddziału. Sprawdzian nastąpił pod koniec lutego, podczas obchodów Dnia Kota. Przeprowadziłam w bibliotece pierwsze zajęcia z dziećmi, w czasie których wymieniliśmy znanych kocich bohaterów literackich, robiliśmy kocie akrobacje, a na koniec wykonaliśmy kota z tektury. Bardzo się stresowałam, jednak sprawdzian zdałam na piątkę, jak to w Piątce! ;) W marcu ruszyły cykliczne zaję-

cia ph. „Język włoski dla dzieci – nauka przez zabawę”, które sama wymyśliłam i do których przygotowywałam scenariusze. Oj, się działo! :) Uczyliśmy się włoskich słówek, zwrotów, rysowaliśmy, śpiewaliśmy piosenki, słuchaliśmy nagrań... Uśmiechnięte buzie dzieci dawały mi ogromną motywację do działania! Czułam się spełniona i usatysfakcjonowana. W każdą wakacyjną środę prowadziłam spotkania ph. „Podróże do stacji Italia”. Z grupką dzielnych podróżników odkrywaliśmy piękno włoskich miast, delektowaliśmy się smakami kuchni, przez moment byliśmy nawet włoskimi projektantami mody! W tzw. międzyczasie pomagałam oczywiście w organizacji imprez (np. Dzień Czekolady, było pysznie!) i zajęć z dziećmi oraz obsługiwałam czytelników Piątki.

Współpraca z WBP utwierdziła mnie w przekonaniu, że praca z dziećmi daje ogromną satysfakcję i radość. Nauczyłam się projektowania scenariuszy zajęć, dopasowywania treści do wieku dzieci, stosowania się do limitów czasowych. Poznałam też „blaski i cienie” pracy bibliotekarza.

Warto jednak zadać pytanie, czy projekt został w pełni zrealizowany? Już sama nazwa, zawierająca słowo „zatrudnienie”, na coś raczej wskazuje. W założeniu aż sześciu wolontariuszy miało znaleźć pracę. Cóż... projekt dobiegł końca, zatrudnienie otrzymało niewiele osób. Może gdyby Pani Pośrednik nieco wcześniej „wkroczyła do akcji”, gdybyśmy mieszkali, na przykład, w województwie mazowieckim, gdyby..., gdyby...

Moja współpraca z Wojewódzką Biblioteką Publiczną jednak nie dobiegła końca. Nieco ponad miesiąc po zakończeniu projektu otrzymałam propozycję pracy! Byłam niezmiernie szczęśliwa, a moją radość potęgował fakt, że miało to miejsce w przeddzień moich urodzin. To był najlepszy prezent urodzinowy, jaki w życiu dostałam! Przygoda z biblioteką trwa nadal, i mam wielką nadzieję, że nieprędko się skończy... ☺

Ktokolwiek WIDZIAŁ WIE ?

ANNA RAU



Było takie miasto, gdzie w oficjalnej „bazie noclegowej” funkcjonowały tylko dwa hotele – „Warmiński” oraz „Nad Łyną”.

Było takie miasto, gdzie działały cztery kina: „Polonia”, „Awangarda”, „Dworcowe” i „Grunwald”.

Było takie miasto, gdzie ludzie spotykali się na trzech stadionach: Leśnym „Gwardia”, Stadionie AZS-u w Kortowie oraz na „Warmii” przy ulicy Rataja.

Było takie miasto, którego mieszkańcy stółowali się w trzech restauracjach – „Nowoczesnej”, „Pod Żaglami” i „Kolorowej” – oraz w siedmiu barach.

Było takie miasto, w którym nowymi dzielnicami były: Zatorze oraz osiedla „Kormoran” i „Dwudziestolecia”.

Olsztyn, który już nie istnieje. O nim opowiada *Serwis Informacyjny miasta Olsztyna*, niewielki, zaledwie 32-stronicowy informator wydany przez Wojewódzki Ośrodek Informacji Turystycznej w Olsztynie. Publikacja obecnie wchodzi w skład zbioru dokumentów życia społecznego olsztyńskiej Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej. Bibliotekarz opracowujący informator stwierdził, iż został on wydany w 1968 r. Nie jest to wersja pewna, lecz dość prawdopodobna. Publikacja nie zawiera ponadto żadnych danych autorskich i redakcyjnych. Teoretycznie jest to wyłącznie zbiór da-



nych teleadresowych najważniejszych atrakcji kulturalnych oraz instytucji użyteczności publicznej miasta, wydawnictwo o charakterze ewidentnie tymczasowym i ulotnym, jednak przechowane do obecnego czasu – nawet bez precyzyjnej daty rocznej – daje zaskakująco wiele interesujących informacji na temat naszego miasta.

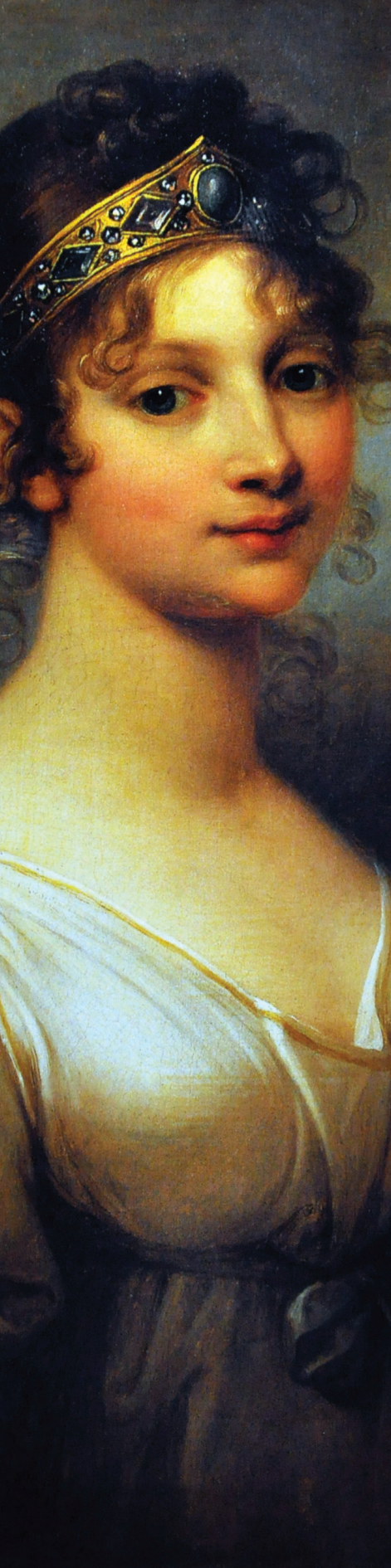
W latach 60. w Olsztynie funkcjonowały redakcje trzech lokalnych czasopism: „Głosu Olsztyńskiego” (ul. Szrajbera), „Panoramy Północy” (ul. Szrajbera) oraz „Warmii i Mazur” (ul. Zwycięstwa). Żadna z wymienionych gazet nie przetrwała do czasów obecnych. W adresach, które „należało znać”, wymieniono m.in. Rady Narodowe – dla pokolenia XXI wieku instytucje niewiadomego przeznaczenia. Porządku pilnowała wówczas Milicja Obywatelska (miejsca Komend Wojewódzkiej i Miejskiej – niezmienione), zaś przy ulicy Partyzantów znajdował się Urząd Celny (obecnie przy ul. Składowej). W mieście działały trzy „kasy wymiany walut”, mówiąc bardziej znajomo – kantory, zaledwie trzy!: w Hotelu „Warمیńskim”, w Przedsiębiorstwie Turystycznym „Warszawa-Olsztyn” (nie istnieje) na ul. Staromiejskiej, w PBP „Orbis” (nie istnieje). Obecnie jest ich około 10 w ścisłym centrum Olsztyna, w całym mieście – kilkanaście. Na dworcach PKP oraz PKS funkcjonowały bary o stołecznej nazwie „Wars”, lokale kategorii III, co oznaczało niezbyt wysoki standard. Taką samą nazwę miał też bar szybkiej obsługi przy alei Zwycięstwa. W lokalach gastronomicznych specjalnościami dnia były wówczas: ryż ze śmietaną, *lin a la* flaczki, zrazy wołowe bite, a w kawiarniach – koktajle owocowe lub krem „Sułtan”. Stacji benzynowych było w mieście sześć, zaś sklepów ze sprzętem motoryzacyjnym – trzy... Jak widać – *Serwis Informacyjny* może współczesnego mieszkańca Stolicy Warmii i Mazur zadziwić. Tyle miejsc, instytucji przeminęło, tyle terminów straciło aktualność! Plac Generała Karola Świerczewskiego – czy ktoś z rocznika późniejszego niż 70-ty skojarzy go sobie z obecnym Targiem Rybnym? Czy ktoś wie,

gdzie znajdował się Bar „Kefirek”? (na ul. Kołobrzeskiej). W centrum miasta znajdowała się kawiarnia „Sawa” – konia z rzędem w nagrodę temu, kto przypomni, w którym miejscu! Czym był Polski Monopol Loteryjny?

Wielkim plusem *Serwisu Informacyjnego* jest jego strona ilustratorska. Niestety nie udało się ustalić autorstwa zabawnych grafik ubarwiających informator. Autor sygnował je inicjałami N (ewentualnie M) P. Bohaterami rysunków są dwie ryby – a raczej Rybka i Ryb, którzy zwiedzają Olsztyn. Feministki oburzyłyby się przysgodami wodnej pary, gdyż Rybka bezwzględnie pełniła przy Rybie rolę służebno-ozdobną: wachlując go przy upale, pchając samochód podczas awarii pojazdu, nalewając mu napoje wysokokowe w jakimś lokalu, rozbierając się podczas występu w kabarecie (!), a nawet ratując tonącego w kipieli jeziornej. Jest więc po prostu znakiem tamtych czasów: symbolem dzielnych choć nieodmiennie powabnych kobiet na traktorach oraz niezłomnych matek -Polek lat 60.

Tych z czytelników, którzy bez zastanowienia umiejscawiają olsztyński Plac Wolności, wiedzą, dlaczego i do czego było potrzebne „zaświadczenie o pokryciu dewizowym na kosztą podróży”, korzystali z książeczki „Auto-Stop” oraz bez trudu rozszyfrowują skróty CSRS, NRD, WRL i BRL, omawiana publikacja z pewnością trochę rozrzewni. Tych zaś, którzy nie wyobrażają sobie jazdy autem na etylinie, jednego w mieście parkingu strzeżonego (pod restauracją „Nowoczesna”) oraz życia bez Internetu – trochę rozbawi, a trochę z pewnością zaciekawi. Jak też mógł wyglądać dzień w Olsztynie bez siłowni i galerii handlowych, a z trolejbusami i „zabawami miejskimi”?!

Serwis Informacyjny miasta Olsztyna. – Olsztyn : Wojewódzki Ośrodek Informacji Turystycznej, [1968]. –S. 32 ; il.



mała rzecz, a cieszy

czytelnika

historia pewnej kolekcji

DANUTA WRÓBLEWSKA

Podobno kolekcjonerem zostaje się zwykle z przypadku, przynajmniej tak twierdził nestor polskiego środowiska bibliofilskiego, Tomasz Niewodniczański. Ja również nie przypuszczałam, że zostanę kolekcjonerem, że skromny, użyteczny przedmiot, jakim jest zakładka do książki, może stać się źródłem mojej radości i satysfakcji. Dostałam je od zawsze – od przyjaciół, znajomych, rodziny – jako odpowiedni upominek dla bibliotekarki. Przywożono je z podróży, ofiarowywano razem z książką... Ot, niezobowiązujący dowód pamięci czy sympatii.

Dopiero parę lat temu uprzytomniłam sobie, że ilość zgromadzonych zakładek jest dosyć duża i można mówić już o kolekcji, zwłaszcza że dopiero wtedy, gdy były one tak różnorodne, doceniłam nie tylko ich użyteczność, ale także urodę. Zaczęłam się nimi interesować już bardziej profesjonalnie, wchodzić na strony internetowe, by szukać informacji o ich przeszłości, w publikacjach o historii książki tropić wzmianki o moim ulubionym przedmiocie pożądania. Cóż się jednak okazało? Informacji o zakładkach do książek w polskich źródłach jest niewiele, jakby wcale nie istniały. Zastanawiam się, co jest tego przyczyną, przecież jesteśmy narodem, który bardzo cenił książkę. Już od XV wieku widziano w niej podstawowe źródło wiedzy i emocji. Szczególnie renesans jak nigdy potem czerpał inspiracje z książek, to one stały się wówczas przedmiotem poszukiwanym, gromadzonym, którego posiadanie dawało powody do dumy lub zawiści¹. Posiadanie prywatnych księgozbiorów nobilitowało go-

spodarza, świadczyło o jego pozycji, statusie społecznym, kulturze. Wiele też zawdzięczamy bibliofilom, których w polskiej kulturze nie brakowało.

Trudno więc sobie wyobrazić, by ludzie kochający książki nie posiadali rzeczy tak wygodnej i pięknej, jaką jest zakładka, nazywana także książkową biżuterią, czyli czymś, co zdobi, upiększa i podkreśla jej walory estetyczne. Z pewnością były one towarzyszkami już średniowiecznych i renesansowych ksiąg na terenie Polski, ale informacji o ich historii jest więcej w źródłach angielskich, a nie polskich.

Okazuje się, że pierwsze datowane zakładki pochodzą właśnie z czasów średniowiecza. Pełniły taką samą rolę, jak te dzisiejsze – zdobiły książkę, chroniły ją przed zniszczeniem, zaznaczały miejsce ukończenia lektury. I tak jak te współczesne wykonane były z bardzo różnych materiałów o ciekawych kształtach.

Te średniowieczne wykonane były z welinu – luksusowego pergaminu z cielęcej skóry, inne, skromniejsze – z resztek skór, która została z oprawy książki. Odnajdywano je w rękopisach średniowiecznych, inkunabułach. Jedną z pierwszych notatek odnoszących się do zakładek jest informacja z 1577 r. o prezencie, jaki dostała królowa Elżbieta od swojego nadwornego drukarza – jedwabnej zakładce ozdobionej frędzlami. Z XVI wieku pochodzi też pięknie zdobiona ażurowymi, geometrycznymi wzorami zakładka z kości słoniowej, służąca do zaznaczania wersów w iluminowanym Koranie. Natomiast w XVIII i XIX wieku bardzo

popularną zakładką stała się jedwabna tasiemka, przyczepiona u góry grzbietu książki i tak długa, aby wystawała poza dolną jej krawędź. Pierwsze kolekcjonerskie zakładki zaczęły pojawiać się w latach 50-tych XIX w. Epoka wiktoriańska i edwardiańska to czas ich wspaniałego rozkwitu, artystycznego wzornictwa². Wybitnym twórcą jedwabnych zakładek szczytującym się posiadaniem 900 różnych wzorów był Thomas Stevens z Coventry. W Stanach Zjednoczonych pojawiła się natomiast zakładka z celuloиду, który był prekursorem plastiku. Zakładki te były tanie i wygodne, i podobnie jak papierowe zaczęły powoli wypierać artystyczne i drogie zakładki jedwabne. Dziś one właśnie są najbardziej popularne³.



W mojej kolekcji nie ma oczywiście tak cennych eksponatów, ale jak każdy zbieracz mam do swoich zakładek stosunek ogromnie sentymentalny. Na swój użytek podzieliłam je także na kategorie, które ułatwiają porządkowanie i dyscyplinują chaos, jaki mógłby się wkraść przy tej ilości zbiorów. Podstawą podziału było źródło pochodzenia i informacje, jakie ze sobą niosą. Najbardziej lubię dwie moje zakładki, które jak klamra spinają moje życie. Pierwsza to zakładka z celuloиду z lat sześćdziesiątych XX wieku, która przypomina dzieciństwo i pierwsze książki, a druga to wykonana własnoręcznie przez moją koleżankę drewniana zakładka, którą dostałam w dniu, gdy odchodziłam na emeryturę.

Najwięcej jednak mam zakładek, które były towarzyszami podróży moich własnych lub moich najbliższych. Te są najbardziej kolorowe, egzotyczne, ciekawe ze względu na formę i użyte materiały, te także najbardziej podobają się oglądającym je ludziom. Może budzą się wtedy marzenia o dalekich podróżach i miejscach, które chcielibyśmy zobaczyć, bo moje zakładki przywędrowały ze wszystkich kontynentów: Australii, Dalekiego Wschodu, obu Ameryk, Afryki. Piękne są te etniczne, wykorzystujące zasuszone rośliny z Malezji czy Singapuru.

Bardzo też cenię zakładki, które przypominają mi ciekawe wystawy i muzea, które dane mi było obejrzeć. Zakładki te pełnią też funkcje reklamy tych instytucji – British Museum, Pergamonu, Pinakoteki Brery w Mediolanie.





Jako miłośniczka swojego zawodu wracam też często do zakładek, które przypominają mi biblioteki, które zwiedzałam w ramach wyjazdów edukacyjnych – British Library, księżnic genewskich, pięknych bibliotek szkolnych we Włoszech. Najbliższe są mi jednak te, które znajduję w moich olsztyńskich bibliotekach – reklamujące nowości czytelnicze, imprezy, spotkania biblioteczne. Dla nas, czytelników, są one szalenie wygodną informacją o tym, co się dzieje w bibliotekach.

W mojej kolekcji są także zakładki przeznaczone dla dzieci, popularyzujące książki, reklamujące różne regiony Polski, instytucje kulturalne, wydarzenia artystyczne. Ich różnorodność sprawia, że moje zainteresowanie nimi chyba się nigdy nie skończy.

Ważne jest dla mnie także to, że zakładka jest wspaniałym elementem promocji książki. Ma to istotne znaczenie w czasach, gdy czytelnictwo w Polsce osiągnęło tak żenująco niski poziom. A przecież warto pamiętać o naszych dobrych tradycjach czytelniczych i chociaż próbować do nich wrócić. Samo zbieranie zakładek tego procesu nie odwróci, ale może się do niego przyczynić.

Na zdjęciach zakładki z Wietnamu oraz reklamujące muzea, z Malezji i Afryki.

¹ Bieńkowska, Barbara, *Książka na przestrzeni dziejów*, CEBiD, 2005, s. 80.

² Kowalska, Aneta, *Zakładki książkowe*
// W: www.ebib.pl

³ Wikipedia: Bookmark
(<http://en.wikipedia.org/wiki/bookmark>).



Magdalena vs. Magdalena

Magdalena Samozwaniec to postać wzbudzająca liczne kontrowersje. Również jej satyryczne felietony *Tylko dla kobiet* doczekały się skrajnych opinii członkiń Dyskusyjnego Klubu Książki w Olsztynie.

Teksty Samozwaniec to „nuda, dydaktyzm i siermiężny styl” czy może „klejnot z ubiegłego wieku”?

1 AGNIESZKA OWERKO i 2 BARBARA SIENKIEWICZ

Magdalena Samozwaniec, *Tylko dla kobiet*, Szczecin, Glob, 1990.

Tylko dla kobiet Magdaleny Samozwaniec

czytane w dzieciństwie i kilka lat później

Magdalena Samozwaniec z domu Kossak wcześniej zaczęła pisanem zarabiać na swoje fanaberie. Miała niewątpliwie potencjał i niezbędne koneksje do zrobienia kariery, ale – jak wszyscy Kossakowie – była rozrzutna i impulsywna. Wieczny brak pieniędzy sprawiał, że rozmieniała swój talent na drobne. W latach 30. nie było pisma, które nie drukowało felietonów Samozwaniec – od „Cyrulika Warszawskiego”, „Bluszczu”, „Tygodnika Ilustrowanego” aż po „Kalendarz Gazowni Krakowskiej”. Pisała sztuki teatralne, fraszki dla dzieci, robiła przekłady z francuskiego, występowała w kabaretach. Po znakomitej parodii *Na ustach grzechu* nie napisała nic równie dobrego, brnęła w banał i trywialność. Po II wojnie światowej musiała przewartościować w zastanej rzeczywistości międzywojenne wartości, żeby przetrwać. Była kreowana na pierwszą damę powojennej satyry.

Zbiór felietonów satyrycznych *Tylko dla kobiet* został wydany w 1946 roku. Kiedy sięgnęłam po niego po raz pierwszy, byłam jeszcze nastolatką. Zaśmiewałam się wtedy do łez z jej aforyzmów i sposobu patrzenia na świat. Potem dorosłam i sama zaczęłam przyglądać się światu. Nie wiem, czy twórczość Samozwaniec należy do innego świata i nie wytrzymała próby czasu, czy zawsze była chałturą. *Tylko dla kobiet* mnie nie bawi i nie wiem, czy by mnie bawiło, gdybym żyła w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku.

Być może dobra w swoim czasie satyryczka zasłużyła na miejsce w historii literatury polskiej, ale niech to będzie jednak sala muzealna. Jej zbiór felietonów o kobietach i dla kobiet powinien być opatrzony przedmową od wydawcy z „wprowadzeniem do epoki” i kreśleniem dy-

stansu. W przeciwnym razie czytelnikowi nieprzygotowanemu może zaszkodzić. Zbiór opowiadań przedstawia szereg karykaturalnych postaci „kobietek”. W świecie satyr Samozwaniec kobiety są głupie, leniwe, gadatliwe, zazdrosne, brudne, niewdzięczne, niegrzeczne i puste. Pisarka niby chłoszcze słowem, ale zupełnie wymyślonego wroga. W jej felietonach nie ma ani jednej budzącej sympatię kobiety. Ani jednej. Mężczyzn potraktowała znacznie łagodniej. Smutne. I nie miałabym pretensji, gdyby zgodnie z założeniami gatunku, była to karykatura rzeczywistości. Tu mamy raczej do czynienia ze zbiorem lęków i urojeń, i przedstawieniem w krzywym zwierciadle i tak już zniekształconego salonu Pani Dulskiej. Samozwaniec podobno hołdowała zasadzie, że tylko „prawda jest śmieszna”. Jeśli naprawdę spotykała na swojej drodze życia same kretyнки, których największą ambicją było złapać męża, potem się na nim uwiesić i dostawać w prezencie futra ze srebrnych lisów, to raczej żałosne niż śmieszne. Współczesne kobiety nie są już oceniane przez pryzmat przynależności do mężczyzny, więc „złapanie” odpowiedniego męża nie jest ich podstawowym zadaniem. Większość kobiet, które znam, ze mną włącznie, chce znaleźć miłość (chyba, że już ma), pragnie odmłodzenia (te kremy, peelingi i nieustająca dieta), narzeka (na pogodę, zdrowie, psa sąsiada) i chętnie kupuje nowy ciuch. Tylko to wszystko to nie jest istota naszego życia, ale jednak margines. Obok powyższego mamy jeszcze inteligencję, dzieci, własne konta, wykształcenie, firmy, stanowiska, pasje i marzenia, i przyjaciółki, które naprawdę nas lubią.

Samozwaniec to nie pierwsza i nie ostatnia pisarka, która wszystkie rozumy zjadłszy, postanowiła napisać poradnik, żeby inni czer-

pać mogli z jej krynicy mądrości. Jak wytre-sować mężczyznę? Skąd brać pieniądze? Jak przyjmować gości? Jak dopiec przy-jaciółce? Jak wychowywać dzieci? Jak za pomocą wódki i kiełbasy podtrzymać na-miętność w związku i tysiąc innych porad, w trudnym do strawienia, kaznodziejskim stylu, można naprawdę między dziewięć-nastowieczne bajki włożyć.

Daleko mi do ageizmu, ale sama Samo-zwaniec powiedziała kiedyś, że człowiek na starość przypomina emerytowanego akto-ra, który siedzi na widowni i smętnie spo-gląda, jak jego ulubione role gra kto inny. Mam nieodparte wrażenie, że taka właśnie gorzka kobieta odstawionej na boczny tor wylewa się z jej felietonów i mówi więcej o autorce niż o wyśmiewanych bohater-kach. „Starość ma te same apetyty co mło-dność, tylko nie te same zęby”. Pewnie każ-dy zna jakąś retro damę, która „wie lepiej” i niechętnie traktuje młodszych. Samozwa-niec jest niestety taką podstarzałą ciotką, której okres świetności minął i ma wszyst-kim wszystko za złe. Czytałam opinie o jej ciętym języku, „przymrużonym oku”, bez-względnej szczerości i nie znajduję. Widzę za to łęki, uprzedzenia, mizoginię, hipokry-zję, manipulację i bezwzględną nieszcze-rość. Pisarka z zapałem godnym lepszej sprawy temperuje, przycina, łąje wszelkie przejawy indywidualizmu i nieprzystawa-nia do jedynej słusznej roli nieco przygłu-piego kobieciątka z buzią w ciup, rękami w małdzyki i infantylnymi „sposobami” na każdą okazję. Nawet jeśli odpuścimy treść i potraktujemy ją jak zbiór nikomu niepo-trzebnych pouczeń ciotki Dobra Rada, to książka i tak się nie obroni. Siermiężny styl, dydaktyzm, chaos tematyczny sprawiają, że jest po prostu nudna. I wbrew tytułowi zupełnie dla nikogo. No chyba, że po setce.

Agnieszka Owerko

Magdalena 174 anshabpa

Czy Magdalenę Samozwaniec trzeba recenzować?

pyta rodowita mieszkanka
Krakowa w 2013 roku

Mieszkanka Warmii zaczyna rozmyślać nad tym pytaniem w mgliste i chłodne listo-padowe przedpołudnie, przy ul. Brackiej w Krakowie, przy filiżance kawo-czeko-lady. W tle delikatna jazzowa muzyka. Ze ścian kawiarni „Nowa Prowincja” spogląda Pani w Kapeluszu, tuż obok napis na ścianie „100 lat dla Ferstera!”, a w kąciку przy barze portrety krakowskich poetów Wisławy Szymborskiej i Adama Zagajewskiego. Być może uwielbiali tutaj przesiadywać oboje?

Zatem wsłuchuję się w głos sprzed 70 lat, otoczona pamiątkami z przeszłości, jak i te-raźniejszością. Czego pozytywnego może dowiedzieć się kobieta XXI w. z poradnika *Tylko dla Niej?* Dzielią nas co najmniej dwa pokolenia. Kiedy autorka odeszła, ja mia-łam zaledwie pół roku.

A room without books is like body without soul (Cicero)

W *Podstuchańcach* Wisławy Szymborskiej opisany jest następujący dialog kobiety i mężczyzny zaobserwowany w sklepie meblowym:

- Przy tej półeczce możemy się zatrzymać. Postawisz flakoniki jakieś dwie, trzy książki.
- A reszta?
- Jaka reszta?

Ktoś powie, że Noblistka nie lubi kobiet, bo wytyka im to i owo. Ten ktoś nie polubi ję-zyka Pani Magdaleny, która w zwięzły spo-sób sygnalizuje problem, by go następnie mistrzowsko spuentować. Książka zawiera obserwacje 52-letniej, doświadczonej ko-

biety, jak śpiewał Jan Pietrzak – po przejściach i z bardzo ciekawą, artystyczną przeszłością. Wnikliwa analiza kobiecych zachowań, opatrzona trafnym komentarzem, piętnuje naszą małostkowość, złośliwość, snobizm, hipokryzję, skąpstwo, nadmierną pedanterię lub brak higieny, megalomanię albo prowincjonalność i zaściankowość, wielomówstwo itd. W pięćdziesięciu trzech krótkich felietonach, maksymalnie 3-stronicowych, pokazuje polskiej kobiecie, żyjącej w różnej powojennej rzeczywistości, jak sobie radzić, by nie dać się zaszufladkować jako klasyczny kociak, kołtun, garkotłuk, życiowa maruda czy stara panna. Pani Magdalena prowokuje swoje „kobietki”, by przywołać w nich tęsknotę do bycia damą, ale nie tą z wypisanym na twarzy: „Ty mnie nie rusz, bo ja mam kapeluszy!”. Ale... damą w kapeluszu, która ma poczucie własnej wartości, wierzy w siebie, potrafi godnie odnaleźć się w każdej sytuacji, np. utraty pracy.

„Myśli osoby, która cieszy się widokiem własnej nogi, muszą być pogodne”. Stwierdzenie pozornie wydaje się błahe i próżne. Niesie jednak ukryte przesłanie, że kobieta świadoma swojego wyglądu umiejętnie i w elegancki sposób podkreśli własne atuty, miast nimi kłuć w oczy z dwunastu centymetrów rusztowań i do granic możliwości głębokich, obustronnych, dekoltów.

„Gdy nie masz co z czasem robić, to idź po prostu na spacer” – wynoż się

Autorka używa czasem określeń zrozumiałych już tylko dla swojej epoki, wtedy z konieczności należałoby sięgnąć do odpowiedniego słownika. Bawi się też słowem, tworząc własne wyrazy. Uprawiany przez Angielki „footing”, czyli samotny spacer z/bez parasola, tłumaczy jako „wynożenie się” (od słowa noga). Dzisiaj, gdy do języka potocznego przeniknęły słowa w stylu łomżing, kocing na trawingu itp., myślę, że mogę śmiało udać się na „nożing” wokół jeziora Długiego w Olsztynie.

„Bareizm” w wydaniu kobiecym

Magdalena Samozwaniec zachęca kobiety do nabierania dystansu w stosunku do siebie, a przede wszystkim do swoich mężczyzn. Przypomina nam wielokrotnie, że godność i wartość nie zależy od samopoczucia małżonka czy też potomstwa. Jej znakomite poczucie humoru sprawia, że nawet czytając o wytykanych nam wadach, uśmiecham się. Jestem świadoma, że niektóre uwagi autorki mogą wywoływać sprzeciw współczesnej czytelniczki. Obejrzałam niedawno dokument z 1997 r. pt. *Bareizm*. Jacek Kuroń wspomina w nim o sytuacji, która miała miejsce podczas projekcji filmu Stanisława Barei *Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz?* i o której może marzyć każdy twórca – w tym przypadku reżyser i autor scenariusza zarazem. Publiczność zanosiła się od śmiechu przy każdej niemal scenie. Nagle zapadła cisza na sali i w tej ciszy rozległ się głos: „Ludzie, przecież sami z siebie się śmiejecie!”.

„Mądre czy głupie, wszystkie kochamy słowa, które się o wiele dłużej pamięta od pocałunków”

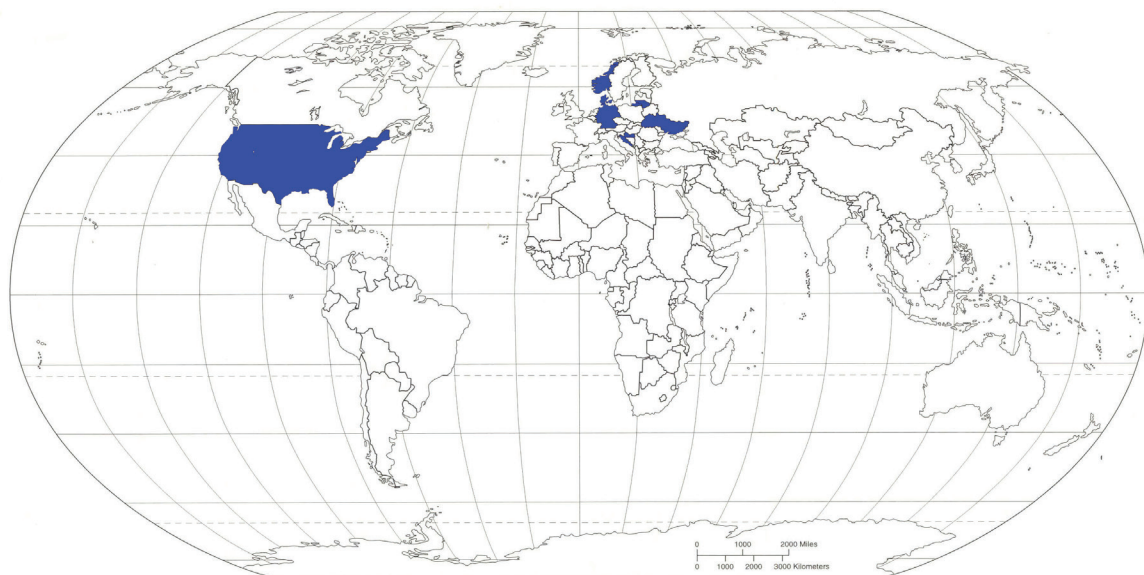
Jane Austin zarzucano, że zbyt krytycznie opisuje kobiece, szczególnie mężatek, zachowania, chociaż sama nigdy za męża nie wyszła. Niewdzięczna rola pisarza, że widzi więcej niż inni. Wrażliwość każe mu być czujnym i sygnalizować pewne sprawy, by nie było za późno.

Ostatnie zdanie z książki, którym mruga do Nas-kobietek autorka: „Czasem z powodzeniem udajemy człowieka, ale matka Ewa też była komediantką”.

Zanim na Waszych półeczkach znajdą się takie tytuły jak np. *Dlaczego mężczyźni kochają żony?* czy *Dlaczego mężczyźni żenią się z żoźkami*, zachęcam pra-pra-pra-wnuczki Ewy, sięgnijcie po ten mały klejnot z ubiegłego wieku.

Barbara Romualda Sienkiewicz (z domu)

Bibliotekarz w dalekiej podróży



Bibliotekarze podróżują – prywatnie i służbowo. Odwiedzają inne biblioteki, podpatrują pracę kolegów, realizują wspólne projekty, nawiązują przyjaźnie, poznają świat. Zapytaliśmy naszych kolegów po fachu o ich podróże, przywiezione doświadczenia, wspomnienia. Co im w głowie i w sercu zostało...

Z Danii do Polski

„Powiedziane nie znaczy usłyszane. Usłyszane nie znaczy zrozumiane. Zrozumiane nie znaczy zaakceptowane” (J. P. Schröder, D. Siegfried, *Skuteczne realizowanie projektów*, Warszawa 2009).

Te twierdzenia jak najbardziej do mnie pasują. Co innego usłyszeć lub przeczytać, a co innego zobaczyć. Dlatego wysoko cenię ten sposób zdobywania nowych doświadczeń. Podczas wizyty w bibliotekach publicznych na Bornholmie przekonałam się, że biblioteki to nie tylko miejsca, gdzie się wypożycza książki czy szuka informacji, ale również „trzecie miejsce” – miejsce spotkań, relaksu, zabawy, inspiracji. Zrozumiałam, że biblioteka to umiejętność dopasowania się do potrzeb środowiska. Jest to wyróżniającą cechą duńskich placówek. Chcesz zobaczyć ręcznie zrobioną biżuterię, pograć na PlayStation, uczestniczyć w zajęciach tkackich, obejrzeć wystawę obrazów, przyjść z niemowlakiem na koncert? Przyjdź do biblioteki... na Bornholmie. To było w 2009 r. Teraz mamy rok 2013 i biblioteki w Polsce też mają się czym pochwalić, co jest pocieszające, zwłaszcza gdy ktoś cierpi na chorobę morską ☺.

Danuta Kazaniecka

Norwegia bez lukru i od podszewki

O tym, że warto wyjeżdżać za granicę, aby się uczyć, przekonałam się już w czasach studenckich, kiedy rozpoczęłam swoją przygodę z bibliotekami w innych krajach. Zawsze były to dla mnie inspirujące wydarzenia, które zmieniały moją świadomość zawodową, i podchodziłam do nich otwarcie. Przyszedł jednak moment, kiedy stwierdziłam, że grupowy *tour* po bibliotekach już mi nie wystarcza. Wyjazd do Norwegii na indywidualną wizytę studyjną w 2010 r. był dla mnie kolejnym krokiem czerpania doświadczeń zawodowych zza granicy. Wiedziałam, że muszę się skupić na konkret-

nym, wybranym przez siebie temacie i znaleźć odpowiedź na pytanie: jak oni to robią? Tak bez lukru i od podszewki. Ważnym elementem była możliwość wpływu na program wizyty, który został ustalony zgodnie z moimi potrzebami, co daje możliwość zyskania jak najwięcej z tego, co nas interesuje. Ogromne znaczenie ma możliwość wyboru specjalistów danej dziedziny, od których chce się uczyć. Tematem, który wybrałam do pogłębienia, stała się statystyka biblioteczna.

Dlaczego warto wyjeżdżać na wizyty studyjne? Aby spojrzeć na swoją rzeczywistość zawodową przez pryzmat odmiennych doświadczeń. Aby się przekonać, że większym środkiem finansowym towarzyszy zazwyczaj większy szacunek do nich, a co za tym idzie efektywniejsza współpraca. Po to, aby wrócić zawodowo odmienionym. Aby otworzyć kolejne drzwi i ruszyć z miejsca.

Joanna Burska

USA – łączy nas ta sama pasja

Całe nasze życie jest podróżą, wędrówką w nieznaną, wciąż nas zaskakuje i zadziwia. Przez lata nasze walizki wypełniają się nowymi doświadczeniami, wspomnieniami, przyjaźniami. Kolejne notesy zapisujemy numerami telefonów i adresami poznanych ludzi, a na Facebooku akceptujemy zaproszenia nowych znajomych. Ale od czasu do czasu trafia nam się coś ekstra, wyjątkowa okazja, takie *last minute*, jak... wycieczka do USA! W kwietniu 2013 r. wyjechałam z dziewięcioma innymi bibliotekarkami z kraju do Stanów Zjednoczonych, jako uczestniczka Programu International Visitor Leadership. To była moja pierwsza podróż za ocean i pierwszy lot samolotem! Podróże mnie fascynują – lubię obserwować, rozmawiać z ludźmi, poznawać historię odwiedzanych miejsc, doświadczać innej kultury. Spojrzeć na życie z odmiennej perspektywy. Podczas wielu spotkań z amerykańskimi bibliotekarzami mogłam się przekonać, że cho-

ciaż dzielą nas tysiące kilometrów, to łączy nas ta sama pasja i zaangażowanie, z jakim podchodzimy do swojego zawodu.

Barbara Bielska

USA – wizyta, która zaowocowała

Ucząc się na studiach o Bibliotece Kongresu Stanów Zjednoczonych, nawet nie marzyłam, że kiedyś będę mogła na własne oczy zobaczyć największą bibliotekę świata – i to w ramach bibliotekarskiej wizyty studyjnej! W 2010 r. miałam szczęście być jedną z 10 uczestników wyjazdu studyjnego do Stanów Zjednoczonych, przygotowanego przez Fundację Rozwoju Społeczeństwa Informacyjnego i Ambasadę Stanów Zjednoczonych w Polsce w ramach programu Departamentu Stanu USA „International Visitor Leadership Program”. Miałam okazję zobaczyć różnorodność amerykańskich bibliotek, poznać pasjonatów zawodu oraz zainspirować się usługami, które są tak projektowane, aby zaspokoić potrzeby lokalnych społeczności. Nasza wizyta studyjna zaowocowała nowymi znajomościami, otwarciem na innowacyjne pomysły oraz... realizacją ogólnopolskiego projektu „Informacja dla obywateli – cybernawigatorzy w bibliotekach”, polegającego na wprowadzeniu w bibliotekach usługi edukacyjnej dla osób wykluczonych, a zainspirowanej projektem „CyberNavigators” Biblioteki Publicznej w Chicago.

Adrianna Walendziak

Biblioteki w USA bardzo nam bliskie

Wyjazd ten umożliwił mi – jako kierownikowi małej biblioteki – zapoznanie się z funkcjonowaniem amerykańskich bibliotek publicznych znajdujących się w różnych środowiskach oraz porównanie sposobu realizacji przez nie zadań z tymi, które realizowane są w naszej bibliotece. Różnice dzielące biblioteki amerykańskie od naszych to fakt, że są one obok muzeów jedynymi instytucjami kultury, po drugie – że

posiadają duże powierzchnie do funkcjonowania. W kwestii pomysłów i realizacji działań na rzecz społeczeństwa lokalnego są nam bardzo bliskie. Otrzymałam również ważne dla mnie potwierdzenie, że wprowadzenie różnych form pracy z czytelnikiem i użytkownikiem bez względu na jego wiek, jeśli nawet wydaje się nie mieć nic wspólnego z podstawowymi zadaniami (a mam tu na myśli m.in. prowadzenie teatryku dziecięcego, organizację plenerów i warsztatów artystycznych) jest jak najbardziej słuszne, ponieważ przyciąga potencjalnych użytkowników i czytelników, a do tego ożywia i uatrakcyjnia miejsce dotychczas kojarzone z ciszą. Możliwość spotkania i uczestnictwa w rozmowach z przedstawicielami instytucji wspierających bibliotekę oraz szeroko rozbudowanego wolontariatu utwierdziło mnie w przekonaniu o sile wsparcia, jaką daje działalność na rzecz biblioteki prowadzona przez osoby nie będące jej pracownikami. Zdobyte podczas wizyty studyjnej doświadczenia inspirują mnie do podejmowania dalszych działań.

Anna Rok

W Chorwacji – biblioteka otwarta

Jako osoba związana z kulturą, a od kilku lat z olsztyńskimi bibliotekami, podróżując, przyglądam się, jak takie instytucje działają w innych miejscach. Myślę, że – czy to będzie Braniewo, Wrocław czy Zagrzeb – najważniejsi są ludzie. To oni swoją pracą, swoimi umiejętnościami, pasją sprawiają, że użytkownicy chcą przychodzić do biblioteki. W Zagrzebiu, gdzie byłam w listopadzie 2013 r., trafiliśmy do małej biblioteki tuż przy jednej z uliczek starówki. Na drzwiach informacja – biblioteka czynna od 8.00 do 20.00 – duże witryny, przez które było widać przytulne wnętrza, biały kolor ścian i ciepły odcień jasnego drewna, antresola i prowadzące na nią wąskie skręcone schody. Sam wygląd sprawiał, że chciało się wstąpić do środka. Po wejściu przywitała nas bibliotekarka, z pytaniem, czego sobie życzymy. Gdy okazało się,

że jesteśmy z Polski od razu pobiegła po wizerunek, wracając z uśmiechem i mówiąc po angielsku, zachęcała nas do zagłębienia na ich stronę, do nawiązania współpracy ☺.

Iwona Bolińska-Walendzik

Stacja Kaliningrad

Jest, wiem, że jest, już tam byłam. Ale jak do niej dojechać pociągiem, skoro autobusu nie ma w tym potrzebnym dniu? Trudno nawet znaleźć informację, że jest taki pociąg. Kilka telefonów i podróż we własnym przedziale, bo pasażerów niewiele więcej niż członków załogi. Na miejscu znajomi bibliotekarka z kierownicą, wygodny hotel w centrum, spotkania z naukowcami i bibliotekarzami z całej Rosji oraz piękny śpiewny język. Autentyczne zainteresowanie tym, co się dzieje w polskich bibliotekach i mój zachwyt nad egzotycznością niektórych miejsc najdalszej Rosji. Uśmiechy, nowi znajomi, planowanie dalszych spotkań i współpracy po żalach, że warunki bywają podobnie trudne. I wystawy bursztynów oraz ta o zachwycającym tytule „Nie ma cywilizacji bez kanalizacji” inspirowana kilkuletnimi staraniami o środki na toaletę w muzeum historii Kaliningradu. I cudowna przejażdżka, gdy siedzisz (a przecież wyjeżdżasz) przez bramę (ekran) na ulice przedwojennego Königsberga sfilmowane z pocztówek znalezionych w Olsztynie. Jak wykorzystać ten pomysł u nas?

Elżbieta Maruszczak

Prawo do informacji na Ukrainie

Wyjazd na zaśnieżoną wołyńską Ukrainę nie miał być, co prawda, turystyczną ekskursją, jednak miałem nadzieję, że – oprócz przybliżania ukraińskim bibliotekarzom budowy strategii wyszukiwawczych – „tyknę” nieco z atmosfery słynnych miast Równego i Ostroga. Wszak były to ziemie we władaniu naszych Lubomirskich, a wcześniej Ostrogskich. Tu narodziła się przecież legenda „Czarnej Halszki

z Ostroga”, która później straszyla na zamku w Szamotułach. Tu także zaczęła się historia Alberta Łaskiego, który część wołyńskiego majątku utracił na rzecz angielskich awanturników i alchemików Johna Dee i Edwarda Kelleya. Bardzo byłem ciekaw, czy uda mi się choćby skrawki owej historii napotkać. Niestety. Projekt, w którym zostałem naznaczony jako „trener”, opatrzony nośnym przesłaniem „Realizujemy prawo do informacji”, miał na celu przygotowanie bibliotekarzy do pożegnania z tradycyjnie pojmowanym modelem biblioteki i „przeprowadzką” do nowoczesnego centrum informacji. Z każdym dniem owych warsztatów rosło moje przekonanie, że „chłonność” ukraińskich bibliotekarzy rośnie wprost proporcjonalnie do naszego osobistego zaangażowania w ich edukację. Na bok poszły więc jakieś historyczne tajemnice z XVI i XVII wieku. Ciekawszy stał się XXI wiek.

Waldemar Tychek

Niemcy: 4xN

Przed wyjazdem do Niemiec w ekspresowym tempie przerabiałam kolejne podręczniki, wiedząc, że czeka mnie tam egzamin. Ten pierwszy w Goethe-Institut zdałam z uśmiechem, ale za progiem czekały mnie kolejne. Pani w sklepie nie mówi do mnie modelowymi zdaniem z podręcznika, a przecież trenowałam te dialogi wielokrotnie, mając świadomość, że przez miesiąc muszę sobie jakoś radzić, odnajdywać się w codzienności i porozumiewać z ludźmi. Każdy pobyt za granicą weryfikuje naszą wiedzę, metoda 4xN – Nauka niemieckiego po niemiecku w Niemczech – wygrywa z samouczkiem. Znakomita organizacja kursu, życzliwość, opieka, która daje przybyszowi poczucie bezpieczeństwa, a do tego wszechobecne w Berlinie poczucie wolności, by być, jakim się jest, wyglądać, ubierać się i żyć w swoim własnym stylu, korzystając z możliwości tego niezwykłego miasta, przyciągają ludzi z całego świata, wśród których, dzięki stypendium Goethe-Institut, mogłam się znaleźć.

Krystyna Burska



z książką W PODRÓŻY

ELA FRĄCKOWIAK

Gdy rozmyślałam o czytaniu w drodze, do głowy przyszła mi jedna myśl: należy w końcu wprowadzić jakiś **NAUKOWY PODZIAŁ „CZYTACZY”** w zależności od ich wyboru umilacza podróży. Trochę takie „pokaż mi, co czytasz, a powiem Ci kim jesteś”, bo przecież uwielbiamy porządek rzeczy we wszechświecie.

W historii rozwoju ludzkości przyszedł kiedyś taki moment, kiedy to ludzie byli w stanie podróżować dłuższy okres czasu i nie musieć poświęcać temu większej uwagi. Największą wadą takiej dogodności jest sposób, jak zapełnić te upływające chwile, gdy człowiek zdany jest często tylko na swoje myśli połączone z ubogim, monotonnym krajobrazem za oknem. Ktoś w którymś momencie musiał dojść do wniosku, że jakkolwiek lektura czytana w drodze smakuje lepiej. Moją cichą teorią jest fakt, że wpadł na to sam Gutenberg i to właśnie ten argument był główną motywacją przy tworzeniu ruchomej czcionki.

Zanim jednak zapędzę się w szalonych teoriach historycznych, mało znanych komukolwiek poza mną samą, warto za-

stanowić się nad czymś innym. Wieki minęły, technika galopuje do przodu bez chwili wytchnienia. Mimo to czytanie połączone z podróżą wciąż potrafi być rozrywką preferowaną przez większość osób. Gdy rozmyślałam o czytaniu w drodze, do głowy przyszła mi jedna myśl: należy w końcu wprowadzić jakiś naukowy podział „czytaczy” w zależności od ich wyboru umilacza podróży. Trochę takie „pokaż mi, co czytasz, a powiem Ci kim jesteś”, bo przecież uwielbiamy porządek rzeczy we wszechświecie. Nie odkładajmy więc tej chwili w nieskończoność, bo może ktoś z Was, moi drodzy Odbiorcy, znajdzie tutaj siebie samego i zgodzi się z moim zdaniem.

Pochłaniacz prasy

Na co dzień nie musi mieć z nią nic wspólnego, ale perspektywa spędzenia kilku godzin w jednym miejscu przyprawia go o panikę.

Osoby te łatwo znaleźć w kioskach ze starą prasą przy dworcach, gdzie wykupują wszystkie miesięczniki związane ze swoimi zainteresowaniami w ilości hurtowej. Drugim rozwiązaniem jest wykupienie kilograma tygodników i dwutygodników, aby przypadkiem nie stracić wszystkich ważnych opiniotwórczych treści – poczynając od polityki, a kończąc na najnowszym związku Piotra Adamczyka czy Weroniki Rosati. Podejrzewam, że specjalnie dla takich osób część wydawnictw wprowadzało mniejsze rozmiary swoich pisemek, aby lepiej mieściły się w wypchanych do granic torbach. Taka forma czytelnictwa w podróży daje szerokie pole do popisu – często mamy dodatkową krzyżówkę do rozwiązania, a jeśli czytamy jakiś dziennik, nasi współtowarzysze podróży mogą sobie poczytać artykuły umieszczone na okładkach.

Nowoczesny bibliofil

Mówiąc prościej, posiadacz czytnika e-booków. Po rodzaju urządzenia można również łatwo oszacować status społeczny osoby, a przynajmniej jej bliskiej rodziny. Trudno poznać, czym się interesuje, ponieważ nie mamy dostępu do okładki, a i trudno zerknąć komuś przez ramię. Z pewnością można dojść do wniosku, że jest to osoba praktyczna, choć może to zakrawać na lekki przerost formy nad treścią. Dlaczego? Ponieważ często w swoim elektronicznym gadżeciku ma książek około 100, często chwali się swoim „zbiorem”, zaś przeczytała może jedną. Jeśli zachować zdrowy rozsądek, to takie rozwiązanie lektury w drodze potrafi być bardzo praktyczne.

Tajemniczy czytelnik

Książka, którą trzyma w ręce, jest zawsze opakowana w gazetkę sklepową lub papier na prezenty. Jak z doświadczenia wiem, przyczyny są dwie: albo dba o swoją lekturę, albo próbuje ukryć jej zawartość. Jeśli chce utrzymać dobry stan książki, to możemy założyć, że podróżujemy z bibliotekarzem. Ukrywanie swojej lektury przydaje się, kiedy zamierzamy czytać tak wysmakowane dzieła jak *Pamiętniki Fanny Hill*,

Pięćdziesiąt twarzy Graya lub serię książek Beatrix Small. Lepiej nie wnikać, co kryje się za papierową zastoną.

Bestseller Man

Często spotykany na wyjazdach wakacyjnych. Wtedy to osoby na urlopiach od swoich korporacji postanawiają sięgnąć po lekturę stojącą w dużych kioskach lub na półkach TOP 10 w sieciówkowych księgarniach. Podejrzewam, że aktualnie triumfy święci kolejna książka Dana Browna, najnowszy Wiedźmin i kolejny kryminał Jo Nesbø. Często za wyborem tytułu stoi jego grubość oraz rodzaj okładki. Jeśli zdarza się nam taka sytuacja, to przynajmniej mamy szansę, aby trafić na jakieś perełki wśród najnowszych tytułów.

Wędrujący filozof

Osoby aż za bardzo ceniące swoją odmienność od reszty społeczności. Lubują się w książkach autorstwa Coelho, Masłowskiej lub aktualnych Noblistów. Jakikolwiek zbędny hałas traktują jak największą obelgę, która wytrąca ich z głębokich myśli nad sensem istnienia ludzkiego. Mogą patrzeć na nas lekko z góry, jako na tych, którzy nie rozumieją ich głębokiego życia wewnętrznego. Każdy człowiek przechodził ten stan w momencie młodzieńczego buntu. Dla świętego spokoju warto zachować ciszę idealną, jeśli nie chcemy poczuć na sobie karcącego spojrzenia.

Zawsze jednak należy pamiętać o jednym – nie oceniamy książki po okładce, a człowieka po tym, jaka lektura znajduje się w jego podróźnej torbie. Trudno też nie uśmiechnąć się do osoby, która czyta książkę, jaką lubimy. W takich chwilach łączy nas nie tylko droga do określonego celu, ale i podobne gusta. Ja mogę spokojnie podpisać się po numerami 1 i 3. Nigdy nie możemy jednak zapomnieć o jednym. Do plecaków zapakujemy odrobinę dobrego humoru połączonego z kulturą osobistą, okraszonego spokojem. Wtedy każda chwila minie nam łatwiej, nawet jeśli wybrana lektura będzie ciężkostrawna.

8. Forum Młodych Bibliotekarzy 12-13 września

„Biblioteka – Twój czas, Twoje miejsce” – pod takim hasłem ponad 150 młodych bibliotekarzy z całej Polski spotkało się w Olsztynie, by doskonalić się na korzyść użytkowników, rozwijać mocne strony i dyskutować o swojej roli w bibliotekach XXI wieku.

„Od inspiracji do zmiany. Międzyregionalna wizyta studyjna bibliotekarzy” 16-20 kwietnia

25 bibliotekarzy z bibliotek publicznych województwa warmińsko-mazurskiego wzięło udział w wizycie studyjnej w bibliotekach województw: małopolskiego i śląskiego, zrealizowanej w ramach projektu dofinansowanego z Programu Rozwoju Bibliotek.

„O finansach... w bibliotece” – podsumowanie projektu i rozstrzygnięcie konkursu 15 października

W Warszawie odbyło się podsumowanie projektu „O finansach... w bibliotece – II edycja” oraz rozstrzygnięcie konkursu przeprowadzonego w ramach realizacji tego projektu. Komisja konkursowa pierwszą nagrodę przyznała Miejsko-Gminnej Bibliotece Publicznej w Węgorzewie, wyróżnienie – Miejskiej Bibliotece Publicznej w Morągu, a nagrodę specjalną FRŚI – Gminnej Bibliotece Publicznej w Dźwierzutach.

nowe KOMPETENCJE nowe PERSPEKTYWY X-XI 2013

WBP w Olsztynie, Biblioteka Elbląska i MBP Kętrzyn to trzy lokalizacje, w których bibliotekarze z Warmii i Mazur w październiku i listopadzie 2013 r. uczestniczyli w szkoleniach zorganizowanych w ramach projektu nowe KOMPETENCJE – nowe PERSPEKTYWY dofinansowanego ze środków Instytutu Książki w ramach „Szkoleń dla bibliotekarzy 2013”. Możliwość rozwoju kompetencji osobistych, zawodowych i wzrostu wiedzy dotyczącej stosowania nowych technologii w bibliotekach otrzymało 265 osób.

Konferencja Regionalna Bibliotek 4 grudnia

Po raz czwarty w sali konferencyjnej Urzędu Wojewódzkiego w Olsztynie spotkali się bibliotekarze, reprezentanci władz samorządowych, organizacji i instytucji współpracujących z bibliotekami, osobistości ze świata kultury i nauki Warmii i Mazur – wszyscy, którym bliska jest idea rozwoju bibliotek. Tegoroczna konferencja poświęcona była najważniejszym osobom w naszych placówkach – użytkownikom i korzyściom, jakie odnoszą w życiu dzięki bibliotekom. Laureatką pierwszej nagrody w rozstrzygniętej podczas konferencji III edycji konkursu „Biblioteka z dobrym klimatem społecznym” została Gminna Biblioteka Publiczna w Starych Juchach, która w partnerstwie lokalnym zrealizowała projekt związany z zachowaniem dziedzictwa lokalnego pt. „Tropem dawnych szkół”.

„Narodowe czytanie dzieł Aleksandra Fredry” 7 września

Do ogólnopolskiej akcji zainicjowanej przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Bronisława Komorowskiego w ramach 220. rocznicy urodzin komediopisarza włączyło się ponad 20 bibliotek publicznych z Warmii i Mazur.

WOJEWÓDZTWO
WARMIŃSKO-MAZURSKIE

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
MIASTA I GMINY TOLKMICKO



PATRON

KONSTANTY ILDEFONS
GAŁCZYŃSKI

MIEJSCE STAŁEGO POBYTU

UL. ŚWIĘTOJAŃSKA 20
82-340 TOLKMICKO

RODÓWÓD

Od 1948 r. byliśmy Biblioteką Miejską, a od 1972 r. jesteśmy Biblioteką Publiczną Miasta i Gminy Tolkmicko.

MOTTO

BYĆ MIEJSCEM, O KTÓRYM CZYTELNICZY
PAMIĘTAJĄ, CHĘTNIE DO NIEGO WRACAJĄ
I POLECAJĄ INNYM

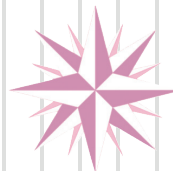
WIEK

65 LAT

ZNAKI SZCZEGÓLNE

- bardzo dobra lokalizacja
- zbiory dostosowane do potrzeb użytkowników
- zaangażowana kadra, profesjonalna obsługa użytkowników
- przyjazne, wyremontowane pomieszczenia

KIERUNEK PODRÓŻY



Chcemy być prestiżowym i nowoczesnym ośrodkiem informacji naukowej, gospodarczej i regionalnej dla użytkowników indywidualnych i instytucji oraz umacniać i poszerzać współpracę ze stowarzyszeniami, fundacjami i innymi jednostkami.

TALENTY

- trudno oceniać samych siebie, niech to zrobią nasi czytelnicy

WAŻNA LICZBA

2013

otrzymaliśmy wyróżnienie
Bibliotheca Bona 2012

Zespół redakcyjny: Andrzej Marcinkiewicz - przewodniczący,
Sylvia Biatecka, Iwona Bolińska-Walendzik,
Wiesława Borkowska-Nichthaus, Joanna Burska,
Renata Pietrulewicz, Anita Romulewicz

Grafika: Iwona Bolińska-Walendzik



po książce do celu